

Biblioteka
UMK
Toruń

377533

PROF. FELIKS KONECZNY

ŚWIĘCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

TOM II

MIEJSCE PIASTOWE — 1938

NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOLA

377533



6. POKOLENIE SYNODU ŁĘCZYCKIEGO

Kazimierz Sprawiedliwy nie upatrywał w prawie kanonicznym jakiegoś niebezpieczeństwa dla państwa i dynastii; zgadzał się, żeby Kościół rządził się swoim własnym prawem. Była ta sprawa nadzwyczajnie ważna nie tylko dla Kościoła. Skoro Kościół nie był zawisły od księżęcego widzi mi się, skoro mógłby się powoływać na swoje prawo — byłby zarazem dany przykład świeckim, że i oni swoje prawo mieć mogą. Wytwarzała się z tego dążność, iżby każdy stan miał swoje prawo i według niego się urządzał. Władza państwowa (król czy książę) przestrzegałaby tylko, żeby żaden stan nie robił nic takiego, co by było szkodliwe całości państwa; nadto zaś miałyby władza naczelna obowiązek wkraczać w razie sporów między stanami, i w ogóle pilnować, żeby między nimi panowała harmonia i współpraca dla powszechnego dobra całego państwa i całego społeczeństwa. Tak urządzał się właśnie cały Zachód europejski, a wszędzie początkiem tego były starania Kościoła o uznanie prawa własnego, kanonicznego, bo za tym przykładem szli inni: wielmoże, szlachta i mieszczaństwo.

Dążenia do samorządu stanowego stanowiły cechę cywilizacji łacińskiej. W Bizancjum niczego takiego nie

bywało, bo tam każdy robił, co chciał ten, kto miał siłę wojskową w swym ręku; na prowincji panem nieograniczonym wszystkich i wszystkiego był lada urzędniczyna.

W Niemczech jak wiemy, ścierały się obie te cywilizacje we wszystkim. Samorządy stanów wytwarzały się wprawdzie, ale wśród tak zaciętych walk z naczelną władzą państwową, iż skutkiem tego przyzwyczajono się upatrywać wroga we władzy cesarskiej i nie spoczęto, aż ją doprowadzono do zera — jak niebawem zobaczymy. Tego Polska uniknęła szczęśliwie, dzięki rozumowi Kazimierza Sprawiedliwego.

Sprawą samorządu kościelnego zajęto się energicznie.

Przez trzy lata trwały narady i porozumiewania się, zanim biskupi obmyślili, czego wymagać dla Kościoła w Polsce i jakie w tym celu mają być wydane ustawy. Gdy już była powszechna pomiędzy duchowieństwem zgoda, zwołał arcybiskup Zdzisław synod kościelnej prowincji polskiej do Łęczycy w r. 1180, wzywając nań wszystkich biskupów, członków kapituł, delegatów duchowieństwa parafialnego i przełożonych klasztorów. Tu wszyscy jeszcze raz obradowali nad swoją sprawą, żeby wnioskom swoim nadać ostateczną formę, taką, w jakiej książę miał je zatwierdzić. Główne uchwały synodu, dotyczące stosunku Kościoła do państwa, orzekały co następuje:

Kościół może posiadać w Polsce swój własny majątek, może przyjmować fundacje od księcia i osób prywatnych, a dobra te przechodzą z biskupa na biskupa, z plebana na plebana, z opata na opata, wieczyście przywiązane do kościoła czy klasztoru. Następca w godności duchownej jest tych majątków dziedzicem. Nigdy więc nie można powiedzieć o dobrach duchownych po śmierci duchownego dostojnika, że one nie mają dziedzica i dlatego mają wrócić do dziedziców fundatora albo do księcia. Nie wolno

też księciu zagarniać ruchomego majątku, pozostałego po biskupie, lecz należy i taki majątek przekazać nowemu biskupowi.

Majątek kościelny nie podlegał ksiączęmu prawu; znaczyło to, że urzędnik ksiączęcy nie miał tam nic do rozkazywania, a ludność wolną była od przymusowych świadczeń na rzecz grodów. W tym tajemnica, dlaczego ludność tak chętnie garnęła się „pod pastorał”.

Na pozór rzecz tyczyła tylko duchowieństwa, ale w praktyce ulgi te przechodziły na maluczkich. Prawo wymagało np. żeby wysłannikowi ksiączęmu dostarczyć podwozy i żywności aż do najbliższej stacji na jego drodze. Gońcy tacy byli ustawicznie rozsyłani na wszystkie strony do kasztelanij i od kasztelanij na dwór ksiączęcy, a żywienie ich, i dostarczanie koni i wozów, było niemałym ciężarem, który skrupiał się najbardziej na ludności mniej zamożnej. Taki goniec był w drodze wielkim panem i pod pozorem służby rozkazywał, komu chciał. Zależało to zupełnie od jego dobrej woli, czy poprzestanie na tym, czego mu naprawdę potrzeba, czy też wycisnie, co się tylko da. Gońcy Mieszka Starego dopuszczali się ciągłych nadużyć, a kontrola była niemożliwa. Mógł wpaść do chaty biednego rolnika i splądrować ją pod pozorem, że potrzebuje żywności; mógł sobie dobrać towarzyszy i zabić bydło na pokarm, kazać sobie upolować zwierzynę, dostarczyć na kilka mil koni, po które trzeba było iść potem pieszo, żeby je odebrać na następnej stacji. Według uchwał synodu łęczyckiego przynajmniej w kościelnych dobrach najuboższy człowiek mógł się odezwać: Nie masz prawa! jeżeli chcesz, zapłać, a poproś, żebym ci sprzedał! Nabycie prawa wobec księcia było czymś tak wielkim, że uboższa ludność aniby śmiała o tym zamarzyć. To było zdobyczą Kościoła i jego darem dla podwładnej mu

ludności, a darem nie tylko materialnym, lecz i moralnym, bo nic tak nie podnosi osobistej godności człowieka, jak świadomość, że się ma prawo, że się nie jest niewolnikiem i igraszką zachcianek silniejszego. Doprowadzenie tych spraw do porządku w dobrach kościelnych wpłynęło też na innych; w całym kraju zaczęto myśleć o tym, jakby powinności państwowe urządzić w ten sposób, żeby nie były ciężkim brzemieniem i żeby się dały pogodzić z dobrobytem ludności i jej interesami. Jakoż osiągnięto to potem, a Kościół pozyskał sobie wielką zasługę cywilizacyjną, że od niego wyszły te starania.

Jeden tylko wyjątek dopuszczał synod łęczycki, a mianowicie gdyby nieprzyjaciel wkraczał do kraju, natenczas należały się gońcom podwody także w duchownych dobrach.

Uchwały synodu łęczyckiego zapadły wobec ośmiu biskupów polskich: arcybiskup gnieźnieński, biskupi: krakowski, wrocławski, poznański, kujawski, płocki, kamiński, lubuski, domagali się jednomyślnie uznania tych ustaw przez książąt. Diecezje ich obejmowały wszystkie dzielnice książęce. Książąt było wielu, a metropolita zawsze jeden, a wszystkie księstwa spojone były w jedną całość w jednolitej kościelnej prowincji polskiej. Duchowieństwo całej Polski solidarnie wystąpiło ze swymi żądaniami i groziło klątwą każdemu, kto się do nich nie zastosuje. Uchwały synodu przesłano po potwierdzenie Ojcu św. Zatwierdził je papież, a więc zatwierdził groźbę klątwy, dopisaną na końcu. Odtąd duchowieństwo miało prawo rzucić klątwę na księcia, który by uchwał łęczyckich nie przestrzegał.

Kazimierz Sprawiedliwy rozumiał, że wola panującego nie może wystarczyć za całe prawodawstwo. On sam przyjął łęczyckie uchwały jeszcze tego samego roku 1180; wszak wiedział, że się to przygotowuje i z góry się z tym zgadzał. Nie wszyscy jednak książęta dzielali

to zapatrywanie i minęło jeszcze sporo czasu, odbyła się jeszcze niejedna walka, zanim uchwały łęczyckiego synodu uznane były przez wszystkich Piastów.

Całe duchowieństwo świeckie i zakonne poruszone było przez kilka lat przygotowaniem do synodu, a następnie obradami i dalszymi losami jego uchwał. Z ogromnym też zaciekawieniem śledziła to wszystko młodzież duchowna, klerycy i studenci wszystkich szkół, a nie było wówczas studentów innych, jak tylko przyszli kandydaci do stanu duchownego. Ile między tą młodzieżą było po szkołach rozmów, dysput, wymiany zdań!

Celowal pomiędzy tą młodzieżą pewien student, który następnie zajął godność wysoką biskupa krakowskiego, i był pierwszym Polakiem, który napisał książkę; lecz co więcej, za życie wielce świątobliwe i wielce pożyteczne miał być podniesiony na ołtarze. Tym nowym patronem Polski stawał się Wincenty z rodu Różyców z przydomkiem Kadłubek, urodzony w r. 1160 we wsi rodowej Karbów pod Stobnicą w Sandomierskiem. Kiedy odbywał się synod łęczycki, liczył lat 20, miał więc już swoje zdanie. Był gorliwym wielbicielem prawa kanonicznego i marzył o tym, żeby mógł go się uczyć i specjalnie temu przedmiotowi się poświęcić. Pragnął w tym celu wyjechać za granicę dla dalszych studiów. Ukończył właśnie szkołę przy katedrze biskupiej w Krakowie. Przejdźmy wraz z nim lata szkolne! Czyż nie warto wiedzieć, jak się uczył Wicusz Kadłubek i setki jego kolegów w Polsce, a tysiące w Europie?

Książka była rzeczą kosztowną, gdyż była ręcznej roboty. Skoro każdy egzemplarz książki trzeba było osobno przepisywać, wymagało to sporo czasu; tym więcej, że nawet materiał do pisania nie bardzo był dogodny. Pisało się na skórkach jagnięcych, umyślnie specjalnie w tym celu garbowanych i przyrządzanych, a zwanych

pergaminem. Pisało się farbami, które należało mocno rozcierać, a piórem była trzcinka temperowana. Każdą literę trzeba było rysować osobno, jeżeli pismo miało być wyraźne. Za tyle straconego czasu i tyle trudu trzeba było porządnie zapłacić zawodowym przepisywaczom, więc niektóre klasztory same tym się trudniły, ażeby uniknąć kosztów nadmiernych. Nieraz cena książki była większa, niż całego porządnego gospodarstwa; droższe księgi przywiązywano nawet łańcuchami do pulpitów, jako skarby. Pożyczenie książki uchodziło za wyjątkowo cenną przysługę, a kto by chciał posiadać książkę na własność, musiałby poszukać przepisywacza i zamówić u niego, albo też samemu zabrać się do przepisywania.

W szkołach ówczesnych sam tylko nauczyciel posiadał książkę, a uczniowie musieli się jak najwięcej uczyć na pamięć, żeby książkę mieć w głowie. Dzisiejsza młodzież nie może nawet mieć pojęcia o tym, jakiej pilności, wytrwałości i cierpliwości wymagały ówczesne szkoły. Najpierw uczono się na pamięć jakiego ustępu, a potem dopiero nauczyciel rzecz tłumaczył i wyjaśniał. W okresie polskich dzielnic książęcych zakładało się już szkoły przy każdej znaczniejszej parafii, a wyższe szkoły przy kościołach katedralnych tj. biskupich. W takiej wyższej szkole uczono najpierw gramatyki łacińskiej, rozmówek w tym języku i ćwiczeń pisemnych; albowiem żadnej nauki być nie mogło, dopóki uczeń nie przyswoił sobie łaciny, bo dopiero w tym języku odbywała się właściwa nauka. Nauczano po łacinie, i uczono się po łacinie. Na tych wstępnych ćwiczeniach łacińskich schodziły pierwsze trzy lata. Dopiero gdy uczeń umiał wyrażać się po łacinie płynnie mową i pismem, poczyniała się prawdziwa nauka.

Zaczynała się od rachunków (arytmetyka), po czym następowała nauka obliczania kalendarza, wcale nie łatwa

sztuka obliczania Wielkiejnocy i wszystkich zależnych od niej świąt ruchomych, wreszcie nauka o układaniu nut i melodyj, czyli tak zwana teoria muzyki, do czego rachunek jest niezbędny. Śpiewu kościelnego uczono praktycznie, ćwicząc chłopców od samego początku w śpiewaniu na nabożeństwach. Każdy ksiądz musiał się znać na muzyce, gdyż zależało na tym, żeby ją wprowadzać do nabożeństw. Uczono potem trochę geografii, żeby kleryk wiedział, gdzie jest Rzym i jakie są państwa chrześcijańskie; uczono też trochę historii naturalnej, tj. nauki o zwierzętach, roślinach i minerałach; uczono nieco geometrii, a w końcu nieco astronomii, o ile się na niej wówczas znano.

Nauczano także rzeczy potrzebnych do życia praktycznego, a więc pisania listów, układania protokołów, dokumentów; uczono więc potrzebnych do tego wiadomości praktycznych, przede wszystkim zaś prawa kościelnego, dobrze już uporządkowanego i ujętego w system, gdy tymczasem prawodawstwu świeckiemu, państwowemu, daleko jeszcze było do tego.

Na tę wyższą część nauki przeznaczano dla uczniów najzdolniejszych cztery lata. Razem więc było klas siedem. Potem dopiero mógł uczeń zdolniejszy uczyć się przez lat dwa filozofii, i dopiero po tych studiach zaczął się uczyć szczegółowo teologii, prawa kościelnego czyli kanonicznego, lub medycyny na uniwersytecie. W Polsce go jeszcze nie było; ten i ów, gdy znalazł po temu środki, jeździł do Francji lub Włoch na te wyższe studia.

Trzeba mieć na uwadze, że w owych czasach wstępował chłopiec do szkoły w wieku znacznie stosunkowo starszym. Nauczanie było bez porównania trudniejsze, niż dzisiaj; wymagało przeto rozumu bardziej rozwiniętego. A przy tym rodzicom nie było spieszno ze szkołami, a chłopcu

tym mniej. Nie istniała jeszcze późniejsza ciasnota życia miejskiego; nawet mieszczanie posiadali role za murami miasta, a w mieście nie było domu bez ogrodu. W takich czasach ława szkolna wydawała się jakby więzieniem! Szli do szkoły tylko chłopcy tacy, którzy sami tego pragnęli i długo się o to dopraszali, zanim im pozwolono. Zazwyczaj wstępowali do szkół chłopcy 12 i 13 letni.

Skończywszy więc po siedmiu latach szkołę katedralną, miał Wincenty już lat 20 i teraz dopiero, około r. 1180, musiał się przygotowywać jeszcze osobno do święceń kapłańskich. Zajął to trzy lub cztery lata. Święceń udzielił mu biskup Gedko, ten sam, który wygnał był Mieszka Starego z Krakowa. Ten też zapewne wysłał młodego kapłana za granicę.

Ale do tego czasu miał Wincenty napatrzeć się wielu rzeczom w Polsce. Największe zapewne wrażenie odniósł ze sprowadzenia do Polski aż z Rzymu kości św. męczennika Floriana. Było to wydarzenie nadzwyczajne, przejmujące umysły współczesnych może jeszcze silniej, niż synod łęczycki. A wyniknęło to z następujących okoliczności:

Ponieważ Kazimierz Sprawiedliwy panował w Małopolsce, a Mieszko Stary w Wielkopolsce, walka ich stała się często jakby walką dwóch głównych działów Polski. Wytwarzała się mimo woli pewna niechęć, która miała się objawiać w sposób bardzo szczególny. Prowincje te nie były jeszcze zlane z sobą, a podział Polski na księstwa i odrębność państwowa dzielnic pogłębiały jeszcze bardziej różnice. Nie zbliżały się te działy w tym czasie ku sobie, lecz oddalały. Były prowincjonalne ambicje i tu i tam, a z tego rodziła się z czasem jakby zazdrość. Gniezno miało prymasa, Kraków tylko biskupa, ale Kraków był stolicą całego państwa, siedzibą wielkich

książąt, a Poznań pamiętał, że dawniej tam była stolica. Ale za to Wielkopolska miała grób św. Wojciecha w Gnieźnie, a Kraków żadnej a żadnej relikwii, nic! Na tym cierpiała krakowska ambicja najbardziej, a widząc to Wielkopolanie, dogadywali jeszcze bardziej i głosili takie mowy, jak gdyby św. Wojciech był ich tylko patronem. Wytykano szyderczo Małopolsce i Krakowowi, że nawet patrona swojego nie mają! Czczono w Krakowie św. Stanisława biskupa, ale były to tylko prywatne modły, bo kanonizowanym jeszcze nie był. Wymaga to sporo trudów i starań, badań i ciągłych podróży do Rzymu i z Rzymu, komisyj (żeby sprawdzić cudy) i pism rozlicznych. Wymaga to dużo kosztów i sporo czasu teraz jeszcze, a cóż dopiero wówczas, kiedy trzeba było miesiąca całego, żeby przejechać przestrzeń, na którą nam obecnie wystarcza jeden dzień podróży. A więc o kanonizację św. Stanisława rozpoczną się starania; ale teraz rzecz pilna, trzeba prędko, jak najprędzej Krakowowi jakiego patrona świętego! Znaczyło to w praktyce, że trzeba sprowadzić do Krakowa do katedry na Wawelu relikwie jakiego świętego. Ale skąd? Czy kto da? Czy można było choć przypuścić, żeby gdzieś za granicą jaka diecezja pozbywała się św. relikwii swego patrona dlatego, żeby je posłać do Krakowa?! Nie! tak drogiego skarbu nikt nie da, nikt zresztą nie ma go za dużo!

Chyba Rzym? tam relikwii mnóstwo, a przy tym Rzym jest ponad diecezjami, państwami, narodami, opiekując się wszystkimi jednakowo. Pojechało więc uroczyste poselstwo od Wielkiego księcia Kazimierza do papieża Lucjusza III (1181—1185). Prośba została wysłuchana i w r. 1183 przewieziono z Rzymu do Krakowa kości św. Floriana męczennika. Łatwo to dziś powiedzieć: przewieziono! Dzisiaj wysłano by osobny pociąg kolei żelaznej, urządo-

no by na kaplicę specjalny wagon z relikwiami przewożonymi, a orszak kilkunastu osób, dostojników i służby, znalazłby jak najwygodniejsze pomieszczenie w doprzężonych dwóch wagonach salonowych. Ale wtedy, w r. 1183? Osób towarzyszących musiało być nie kilkanaście, lecz kilkadziesiąt — i na przeszło stu noclegach pomieszczenie dla nich stosowne. W iluż kościołach stały po drodze święte szczątki! jakie trzeba było obmyślać i sporządzać wozy na rzeczy, inne do gór, inne na równinach, a ileż razy sporządzać nosze, gdzie wóz nie mógł dojechać! Jechało się czasem drogami, częściej jednak bezdrożami, a zawsze tylko konno! A z relikwiami nie można było pędzić; trzeba było jechać wolno, tak z ostrożności, jako też z należytej powagi. Należało też wysłać przodem służbę, która by przygotowała noclegi, uprzedzając na kilka dni przedtem miejsca, przez które miał orszak cały przejeżdżać. Wiedziała tedy o tym z góry cała ludność okoliczna. Zgromadzano się, zjeżdżano, przygotowywano gościnę na probostwach i po ratuszach, a po kościołach nabożeństwa. Słowem, od Rzymu aż do Krakowa ciągły wielki ruch i nabożeństwa uroczyste dzień w dzień. Miał sporo roboty i często dosyć kłopotów biskup z Murino we Włoszech, który przewodził tej podróży z polecenia papieskiego.

Tak dojechano do Krakowa. Na dobrą milę przed miastem oczekiwał świętego patrona Wielki książę z biskupem krakowskim, z licznym orszakiem dostojników duchownych i świeckich, z rycerstwem swym i z całym duchowieństwem Krakowa i rozległej okolicy; a ilu przyjechało umyślnie z dalsza, ażeby zobaczyć taką uroczystość, jedyną, która się już nie powtórzy nigdy! Zgarnęła się też cała ludność okoliczna, a bliżej miasta wyległo całe mieszczaństwo. Im bliżej Wawelu, tym bardziej powiększał się ten tłum, bez wątpienia wielotysięczny.

Relikwie spoczęły na Wawelu w przygotowanym już grobowcu. Nie przestając na tym, wystawił Wielki książę patronowi swego państwa osobny nowy kościół, istniejący dotychczas wspaniały kościół św. Floriana w północnej części Krakowa na Kleparzu — i w tym kościele umieszczono ramię z ciała św. męczennika.

Męczennikiem bowiem był ten święty.

Był to oficer wojsk rzymskich za czasów cesarza Dioklecjana, który zarządził prześladowanie chrześcijan, a panował w latach 284—305 po Chrystusie. W prowincji Noricum (dzisiejsze państwo austriackie) w mieście warownym Laureacum nad Dunajem (ruiny w Lorch) pojmano wówczas czterdziestu żołnierzy chrześcijan, chcąc ich zmusić więzieniem i rozmaitymi udręczeniami, żeby złożyli ofiarę bożkom pogańskim. Przełożony ich, oficer Florianus, bawił wówczas poza garnizonem dość daleko w innym mieście; lecz dowiedziawszy się, co się stało z jego podkomendnymi, natychmiast wraca do Laureacum. Na moście przed miastem spotyka patrol ruchomą, pyta więc, dokąd i po co się udają. Ci meldują mu, jako swemu oficerowi, że z rozkazu władzy przeszukują miasto i okolice, czy nie ma jeszcze gdzie chrześcijan. A wtedy Florianus powiada im: Nie trzeba wam daleko chodzić i długo szukać, oto mnie macie, jam jest chrześcijanin. Więc zaprowadzili go do cesarskiego urzędu, gdzie poddawany kilkakrotnie mękom, Chrystusa śmiało wyznawał; wreszcie kazano go utopić w rzece. Woda ciało jego na brzeg odrzuciła, tam zajęli się nim niewypatrzeni jeszcze przez władzę współwyznawcy i tymczasowo pogrzebali w okolicy w miejscu odludnym. Potem, gdy prześladowanie ustało i gdy załoga Laureacum odkomenderowana była do Rzymu, żołnierze chrześcijańscy (których jeszcze przybyło po prześladowaniach) zabrali ciało męczennika z sobą

do wiecznego miasta. Tam z czią przynależną pogrzeb wyprawiono, a wnet wyniesiono na ołtarze męczeńskie szczątki.

Cześć tego świętego rozszerzyła się niebawem na całą Polskę, dotarła nawet później do naszych wschodnich prowincyj. Nie wiadomo, jak się to stało, że poczęto wzywać jego przyczynienia szczególnie w razie pożaru. Ale nie jest to tylko polskim zwyczajem, bo również w Austrii i w południowych katolickich Niemczech uważa go się za patrona gaszącego pożary.

Przynajmniej tym razem niechęci dzielnicowe wyszły na dobre, bo nowym patronem cała Polska wzbogaciła się.

Patrzył na to Wincenty Kadłubek własnymi oczyma; należał do najbliższego orszaku biskupa, a zawsze blisko samych relikwii, bo mieszkał na Wawelu; biskup bowiem zrobił go nauczycielem w szkole katedralnej.

Nauczając, pamiętał dobrze, że sam nauczyciel winien się ciągle uczyć. Toteż jakże się czuł szczęśliwym, gdy go wysłano na dalsze studia na uniwersytet za granicę. Były to instytucje kościelne, przeznaczone najpierw dla wyższych studiów teologicznych i filozoficznych; później dopiero wytworzyły się wydziały prawniczy i medyczny. Najstarszy uniwersytet powstał w Paryżu, następnie we Włoszech w Bolonii i w Padwie, a potem dopiero w północnych krajach europejskich. Nowy uniwersytet wolno założyć było tylko za zezwoleniem papieskim. Językiem wykładowym mogła być tylko łacina, bo żaden z nowożytnych języków europejskich nie był jeszcze na tyle wydoskonalony, żeby można było w nim miewać wykłady naukowe; te języki kształciły się dopiero stopniowo na łacinie.

Otrzymał tedy Kadłubek zapomogę od biskupa Getki, żeby mógł spędzić swobodnie lat kilka na studiach uni-

wersyteckich za granicą. Był w Paryżu i w Bolonii. Bardziej mu zależało na Bolonii, gdzie bardziej kwitnęła nauka prawa kanonicznego. Pełno tam było młodzieży ze wszystkich krajów europejskich, i profesorowie rozmaitej narodowości. Łączyła wszystkich łacina. Wynosiło się z miasta uniwersyteckiego znajomości międzynarodowe na całe życie.

Z profesorów najbardziej zajął się Wincentym w Bolonii Anglik Gerwazy z Tilbury (wieś w angielskiej prowincji Essex nad rzeką Tamizą). W późniejszych latach został kanclerzem państwa Arelatu (część południowej Francji), a miał doskonałe stosunki na dworze angielskim i cesarskim. Pisywał dzieła historyczne. Jemu zawdzięczał Kadłubek, że nabrał od niego żyłki historycznej.

Kiedy mu się już kończyły lata studiów, był za granicą jeszcze świadkiem przygotowań do trzeciej wyprawy krzyżowej, która odbyła się w latach 1189—1192.

W Palestynie źle się działo. Nie tylko stracono Jerozolimę, ale ostatni król jerozolimski dostał się do niewoli w bitwie nad jeziorem Genezareckim. Był to Guidon z Lusignan, Francuz rodem. Więc król francuski Filip II August wybrał się do Palestyny, a z pomocą zgłosił się król angielski Ryszard. Wojownik był z niego bohaterski; cóż skoro był kłótniwy i zakłócił krucjatę sporami swymi z królem Francji. Ten w końcu tak się obraził, iż powrócił do domu. Brał w tej wyprawie udział również cesarz Fryderyk Rudobrody i dobrze się sprawował, gdy nagle katastrofa: utopił się podczas kąpieli. Szczególniejszym zrzędzeniem także syn jego (imieniem również Fryderyk, umarł na tej wyprawie. Dokończyli krucjaty Anglicy, uzyskawszy przynajmniej dla chrześcijan pas wybrzeża morskiego. Zdobyto zaś bogatą i słynną z cudnego klimatu wyspę Cypr i tam osadzono „królów jerozolimskich” — Jerozolimą niestety już nie władających.

Ów zaś Ryszard angielski otrzymał przydomek Lwie Serce. Wyszło już z użycia („z mody”) tytułowanie się „niedźwiedziem”, jako królem zwierząt północnej Europy; na wyprawach krzyżowych dowiedziano się o tamtejszym królu zwierząt, o lwie, który niebawem i w Europie królem został, a niedźwiedzia stracił z tronu.

Zaznajomiwszy się z wielu słynnymi szkołami, napatrzywszy się wzorowym klasztorom wszelkich reguł, zakupywał bł. Kadłubek pod koniec swego pobytu za granicą całe księgozbiory. Funduszów dostarczył biskup Getko i Wielki książę Kazimierz Sprawiedliwy. Gdy Wincenty wrócił do Polski (w r. 1189), rozesłano te księgi po diecezjach, a niektóre klasztory urządziły całe pisarnie, żeby dzieła uczone pszepisywać dalej i dalej rozsyłać.

Nie ustała jeszcze wprawdzie walka dwóch obozów, których przedstawicielami byli Kazimierz Sprawiedliwy i Mieszko Stary, ale Kazimierz był już osadzony mocno. Biskupi polscy wystarali się, że papież Aleksander III uznał przeniesienie godności wielkoksiążęce z gałęzi najstarszej Piastów, więc ze śląskiej (jak polecał testament Bolesława Krzywoustego) na gałąź najmłodszą, sandomierską, tj. na Kazimierza Sprawiedliwego i jego potomków.

Wakowało właśnie probostwo w Sandomierzu. Było to nadworne niejako probostwo, bo w Sandomierzu lubił na bardziej przebywać Kazimierz Sprawiedliwy. Upatrzył sobie Kadłubka na tę godność, a biskup też się zgodził. Pozostawał przeto Kadłubek w osobistych stosunkach z dostojnikami państwa i z samym Wielkim księciem. Sprawy publiczne nie były mu obce.

W najbliższych latach dużo było kłopotów z powodu ziemi Lachów. Były to sprawy często przykre, ale — rzecz doprawdy ciekawa — my pierwszą polską Świętą dosta-

liśmy właśnie z Rusi, od Rurykowiczów (błogosławioną Grzymisławę, o której niżej będzie mowa). A zawdzięczamy to temu, że trafiały się często powinowactwa przez ożenki pomiędzy dynastiami polską a ruską, Piastami a Rurykowiczami. Właśnie Kazimierz Sprawiedliwy miał rodzynego siostrzeńca, Rurykowicza Romana i popierał go na księstwo halickie. Tak zaczęto nazywać ziemię Lachów, gdyż gród Halicz stał się tam stołecznym. Niespodzianie zjawił się współzawodnik nowy. Król węgierski Bela III wyprawił z wojskiem swego syna Andrzeja i ten rok cały siedział na halickim grodzie. Wyniknęły z tego najrozmaitsze powikłania, wśród których zmarł Kazimierz Sprawiedliwy (w r. 1194).

Syn jego, Leszek Biały, liczył zaledwie siedem lat życia — i od razu zagrożony był wznowionymi knowaniami Mieszka Starego i jego obozu. Wtenczas odwdzięczał się Roman bratu cioteczemu za dobrodziejstwa doznane od wuja. Jego posiłki przyczyniły się do zwycięstwa Leszkowej sprawy w r. 1195 w bitwie nad rzeczką Mozgawą (cztery mile od Jędrzejowa, na północ Krakowa). Leszek miał przeto zobowiązania względem Romana, a z tego wyniknęło coś wielce bolesnego wnet w cztery lata potem.

Zmarł ostatni z Rościsławiczów, właściwych panów Halicza. Natenczas wielmoże tamtejsi — polscy Lachowie — postanowili przyłączyć się do księstwa sandomierskiego, a więc poddać się Leszkowi Białemu i wracać do państwa polskiego. Lecz jakżeż wyganiać Romana? Za Mozgawę? Rósł odtąd Roman w siły tak dalece, iż rozszerzając swe panowanie na wschodzie, zawładnął nawet Kijowem — nie myśląc zresztą wcale przenosić tam stolicy, którą dla niego pozostał Halicz. Działo się to w r. 1190. A wkrótce co za zmiana! Ten sam Roman urządza wyprawy na Sandomierskie, aż w r. 1205 w bitwie pod Zawichostem nałożył to własną głową.

Pozostawił po sobie dwóch synów: Daniela i Wasylka, lecz w wieku dziecięcym. Odtąd przez lat trzydzieści trwają zapasy o księstwo halickie, i książęta zmieniają się tam niemal co roku. Tymczasem ów Andrzej królewicz węgierski, który przez rok panował w Haliczu, stał się już królem Andrzejem II i ni stąd ni zowąd ogłosił się w r. 1206 królem Halicza i Włodzimierza, co po łacinie nazywało się „rex Galiciae et Lodomeriae”. Zapamiętajmy sobie ten szczegół, bo będzie to potrzebne w późniejszym opowiadaniu. Zapamiętajmy również, że wszyscy następcy Andrzeja II, wszyscy królowie węgierscy nosili ten tytuł stale i nigdy go się nie zrzekli — chociaż aż do r. 1772 do niczego im nie był potrzebny.

W rok po wymyśleniu na Węgrzech szczególnego „królestwa Galicji”, w r. 1207 wszedł Leszek w związek powinowactwa z Rurykowiczem Ingwarem, księciem Łucka; dopomógł mu do drugiego księstwa, na Włodzimierzu Wołyńskim, i ożenił się z jego córką, Grzymisławą. Od tej Rusinki zaczyna się szereg świętych polskich niewiast XIII w.

Jeżeli wychowana była w prawosławiu, musiała oczywiście przyjąć katolicyzm, wchodząc w ród Piastowski, a zwłaszcza, że stawała się Wielką księżną krakowską. Lecz niekoniecznie musiała być przedtem prawosławną. Na Rusi działały wciąż polskie misje katolickie, książęta ruscy żenili się często z Piastównami, znaczna część Rurykowiczów wychowywana była przez matki katoliczki. Ten dział Rusi południowo-zachodni, z którym Piastowie mieli ciągle do czynienia, podlegał też wpływowi Rusi halickiej, tj. ziemi Lachów, tej ziemi, która co dopiero chciała się łączyć z księstwem sandomierskim, ziemi świadomie polskiej; tu nawrócenia były najczęstsze i nacisk na książąt silny, tak dalece, iż publicznie przechodzili na kato-

licyzm (np. miał katolickie lata w swym życiu ów Roman, o którym było poprzednio). Z ziemi Lachów promieniował już katolicyzm na księstwa sąsiednie. Należał do nich Łuck i to pewna, że Grzymisława nie czuła nigdy niechęci do katolicyzmu. Po zamęściu okazała niezmierne przywiązanie do Kościoła, a żyła tak świątobliwie, iż zaliczona jest w poczet błogosławionych.

W latach tych kłopotów rusko-polskich powołany został bł. Wincenty z powrotem do Krakowa, gdzie go czekały najwyższe godności. Zrazu objął kierownictwo szkoły katedralnej, potem otrzymał w kapitule stanowisko scholastyka tj. przełożonego szkół w całej diecezji. A w końcu w r. 1208 wybrała go kapituła na biskupa. Przez dziesięć lat rządził diecezją sławnie. Niejedno ulepszenie od niego wzięło początek. On zaprowadził ten piękny zwyczaj, żeby przed Najświętszym Sakramentem paliła się wieczna lampa.

On, tak zaprzyjaźniony z Kazimierzem Sprawiedliwym, był też zwolennikiem jego syna, Leszka Białego. Z bólem więc patrzył, jak w r. 1210 Wielkoksiążęca para musiała uchodzić z Krakowa. Pierwsze to było utrapienie w Polsce i upokorzenie błogosławionej Grzymisławy; pierwsze, ale nie ostatnie.

Tym razem nie Mieszko Stary uderzał, lecz szło o całkiem nowe kombinacje polityczne. Oto najstarsza gałąź Piastów, śląska, podniosła roszczenia do Wielkiego Księstwa. Młodszy z synów Władysława II, książę raciborski, Mieszko Kulawy, zawładnął Wawelem. Posiadał Kraków jednak kilka tylko miesięcy, bo zmarł już w r. 1211, a Leszek z Grzymisławą wracali na Wielkie Księstwo. Później przejął roszczenia Kulawego inny książę śląski, wrocławski Henryk Brodaty. Przez szczęśliwe spadki połączył w swoim ręku Wrocław, Głogów i Opole, a więc

przeszło połowę Śląska, a potem przez różne kombinacje rozszerzał swe panowanie coraz dalej, iż stał się najpotężniejszym pośród Piastów. Ale póki żył Leszek, nie próbował posiadać Krakowa.

Ażeby mieć spokój także od zewnątrz, zabrał się Leszek do drażliwej z madziarską dynastią sprawy o Halicz. Odbył w tym celu zjazd z królem Andrzejem II na Spiszu, w krainie na południu Tatr, i tam umówili się o przyjaźń, która miała być stwierdzona małżeństwem ich dzieci. Andrzej miał syna Kolomana, liczącego lat pięć, a córka Leszka i Grzymisławy, Salomea — potem również błogosławiona — miała lat trzy.

Takie niby małżeństwa dzieci były w owych wiekach dozwolone. Oczywiście były to tylko uroczyste zaręczyny i zależało to od woli narzeczonych, gdy dorosną, czy zechcą być małżeństwem. Ale gdyby zechcieli, nie trzeba byłoby już żadnych formalności nowych. Owe zaręczyny były bowiem dokonywane najzupełniej w formie sakramentu małżeństwa, sakramentu udzielanego wprawdzie warunkowo, lecz bądź co bądź udzielonego; jeżeli więc warunek się spełnił, tj. jeżeli dorósłszy mieli ochotę zostać małżonkami, mieli prawo zamieszkać wspólnie, nie potrzebując już żadnej ponownej ceremonii religijnej. Z takimi małżeństwami będziemy mieli jeszcze do czynienia w dalszym toku naszych opowieści. Ukoronowano więc tę parę dzieci w r. 1124 i osadzono uroczście na halickim tronie. Stanowiło to dopiero początek nowych zawikłań. Na razie miał Halicz królowę trzechletnią. Poszła od razu za mężem, to znaczy, że teść węgierski zabrał ją na swój dwór, żeby się tam wychowywała razem z mężem, Salusia tedy razem z Kolomankiem.

I Kościół ma swą historię, bo przechodzi przez zmiany. Niezmiennym jest dogmat i nauka moralności, ale od-

mieniają się zwyczaje. Taki np. ślub dany przed ołtarzem parze dzieciaków, nas dzisiaj nie tylko dziwi, ale razi. Wyrывa się mimowolnie: Jakżeż można? Ale śluby takie ograniczone były do rodzin monarszych, a ufano szczerze, że spowinowacenie władców stanowi najlepszy sposób poprzyjaźnienia się ich krajów. Chcieli mieć tę przyjaźń zawczasu upewnioną, zatwierdzoną, od razu, natychmiast. Jakżeż sprzeciwiać się chwalebnyim zamiarom zgody? Iluż wojnom zapobiegł Kościół, zezwalając na takie małżeństwa? Lecz później zniesiono to.

Podobnie ma też swoją historię pojęcie świętości. Ogół wiernych w rozmaitych czasach rozmaite stawiał wymagania wybrańcom swym, których szczątki pragnął widzieć na ołtarzu, do których się modlono, dopraszając się w Rzymie kanonizacji. Podstawę stanowiła zawsze wielka świętobliwość, ale na tle świętobliwości, tego warunku nieodzownego, ileż może być rozmaitych zwyczajów! I tak dziwimy się niejednemu, co czytamy np. w żywotach św. Jadwigi śląskiej.

Właśnie kiedy Andrzej II i Leszek Biały jechali do Halicza na ślub i koronację swych dzieci, dotarła ze Śląska wieść brzmiąca szczególnie nieprawdopodobnie, że małżonka Henryka Brodatego, Jadwiga, opuściła przed kilku miesiącami męża, i zamknęła się w klasztorze. Nie tylko męża opuszczała, ale też sześcioro dzieci: siódme, najstarszą córkę Gertrudę, wzięła z sobą do klasztoru. Jak to rozumieć?

Książę wrocławski, Henryk Brodaty, znany był z tego, że sprowadzał na Śląsk całymi gromadami osadników niemieckich; sam bowiem był podniemczony. Zniemczenie znać było nawet w tym, jak na jego dworze pojmwano świętość. Było to doprawdy trochę formalistycznie, trochę z niemiecka po bizantyńsku.

Sam przydomek księcia wrocławskiego pochodzi z jego świętobliwej formalistyczności. Był to człowiek uczciwy i bardzo religijny. O jego chrześcijańskiej pokorze świadczyła broda. Tak, broda! Była wtedy moda golenia, brodę nosili tylko ludzie zaniedbujący się, wędrownie ubóstwo itp. Z pobudek nabożnych upokorzył się nasz książę aż tak dalece, iż także zapuścił brodę i stąd ma przydomek Brodatego. Nie nosił kosztownych strojów, ni złota, ni drogich kamieni; najbardziej lubiał chadzać w prostym ubraniu płóciennym. W domu jego panował surowy obyczaj i wielka nabożność. Żona jego, Jadwiga z książąt frankońskich — późniejsza święta — liczyła lat trzynaście, gdy wychodziła za mąż. Dostosowała się najzupełniej do obyczaju swego męża, i niebawem prześcignęła go w nabożeństwie, umartwieniach, i w nadzwyczajnej dobroczynności. O miłosierdziu jej opowiadają prawdziwe nadzwyczajności. Oboje założyli w r. 1203 klasztor cysterski męski w Trzebnicy, nieco na północ od Wrocławia; a gdy rozszerzoną już po całej Europie regułą cysterską przystosowano także do zakonnic, ufundowała księżna tamże klasztor żeński i tam się zamknęła w r. 1213 wraz z córką, którą tam zrobiła ksienią. Sama ślubów zakonnych nie składała, i zakonnicą wcale nie była, chociaż spełniała wszystkie a wszystkie wymagania reguły zakonnej. I tak przeżyła tam całych trzydzieści lat.

Rozesła się z mężem za jego zgodą, i z jego zezwoleniem zamieszkała w klasztorze, jak tego wymaga prawo kościelne. Żąda nadto, żeby dzieci w tego rodzaju wypadkach były materialnie zaopatrzone, o co w rodzie książęcym nie było kłopotu.

Przystąpiwszy progi klasztorne, prowadziła żywot wśród wymyślnych umartwień, odmawiając sobie wszystkie; żyła jakby nędzarka, jakby najsurowsza pokutnica.

Usunęła ze swego żywota wszystko, co zalatywałyoby choćby najmniejszym dobrobytem. A cechy dobrobytu bywają rozmaite w rozmaitych czasach. Np. dzisiaj najuboższy musi mieć bieliznę, ale wtenczas książęta jej nie miewali, bo jeszcze tego nie znano. Kąpiel w domu mógł mieć tylko zamożny, bo trzeba było do tego odpowiednich kadzi, ognisk i służby. Mydło stanowiło kosztowną rzadkość; było czymś tak cennym, iż ani nawet na dworach książęcych nie można było dawać go do codziennego użytku. Świeciło się szczapami, paliło się na otwartych ogniskach, a zimą woda w kubie zamarzała do rana. Ani w pałacach nie było jeszcze szyb szklanych, tylko pęcherze natłuszczone; ani podłóg z desek, tylko nalepa, a tylko u najbogatszych i tylko w paradnych pokojach podłoga kamienna. My dzisiaj gotowibyśmy uznać za umartwienie to, co w XIII wieku uważało się za życie wygodne! Jeżeli tedy wówczas chcieli się umartwić, urządzali sobie sztuczną, umyślną nędzę. Np. św. Jadwiga chodziła boso. Gdy jej spowiednik tego zakazał, nosiła trzewiki pod pachą, aż uprosiła spowiednika, że zezwolił jej chadzać boso aż do końca życia. Stopy obłocone, twardniały i grubiały, a w razie najłżejszego skaleczenia ropiły się; wreszcie porobiły się w nich dziury, a byli świadkowie na to, że do niektórych dał się włożyć palec, takie były duże. Rany te krwawiły, a w zimie okrywały się skorupą ropną. Dzisiaj nie pozwolono by na to w najsurowszym klasztorze! Ale wówczas, gdy higieny jeszcze nie znano, mniej też dbano o czystość. Może by zgorszył się o to i owo dzisiejszy czytelnik, gdyby czytał żywot tej świętej obszernie, szczegółowo. Taki niech pamięta o tym, że kanonizowano ją nie dla ówczesnych zwyczajów, lecz pomimo nich, a dla cnót takich, które zawsze jednako są cnotami, dla jej całkowitego zaparcia się siebie i niezrównanego miłosierdzia.

Wykształcenie religijne stało nisko i rzadko kto wiedział, że każdy uczciwy tryb życia może być uświęcony, i że w pierw należy spełniać obowiązki swego stanu, a potem dopiero wolno mnichów naśladować. Pośród książąt piastowskich byli niestety tacy, którzy biczowali się w wielkim poście, ale obowiązki książęce spełniali źle, a raczej całkiem ich nie spełniali.

Zobaczmy jeszcze, że Henryk Brodaty, taki nabożny, zapatrywał się jednak fałszywie na stosunek do Kościoła, skoro przyszło mu popaść w klątwę.

Ale dla takich, którzy żyją w świecie, spełnili już obowiązki swego stanu, i pragnęliby ostatnie lata poświęcić wyłącznie duszy własnej, może życie zakonne posiadać czar niewypowiedziany. Tak bł. Bogumił usunął się w zacisze i podobnież za jego przykładem bł. Wincenty Kadłubek. Z własnego majątku, ze swoich dwóch wsi pod Stobnicą ufundował Cystersom klasztor w Jędrzejowie i tam przebył ostatnich pięć lat życia.

A spędził je wielce pracowicie. Będąc świadkiem, a nieraz nawet uczestnikiem tylu doniosłych spraw publicznych, postanowił przekazać potomnym wiadomości o tym, i zabrał się do spisywania kroniki swoich czasów. Wydało owoce zamiłowanie do historii, które za młodu przejął od Gerwazego z Tilbury. Oczywiście po łacinie pisał, bo język polski nie był jeszcze dość wykształcony, żeby w nim książki pisać i dopiero na łacinie miał się wydoskonalać. W toku pracy namyślił się inaczej, żeby mianowicie napisać całą historię polską od początku. Robił to już raz, za czasów Krzywoustego, osiadły w Polsce cudzoziemiec (Martinus Gallus); Kadłubek był pierwszym Polakiem, który napisał książkę. Powiodło mu się dojść w pisaniu od początków aż do czasów sobie współczesnych; ale gdy potem zabrał się do wykoń-

czenia współczesnych, nie daleko nadążył, bo tylko do r. 1202.

Śmierć przerwała uczoną pracę w r. 1223. Pochowano go w Jędrzejowie. Pielgrzymowano do jego grobu, bo go uważano za świętego, i działy się cuda. Przez dziwne zaiste zaniedbanie nie zrobiono w Rzymie odpowiednich starań. Dopiero w r. 1769 załatwiono sprawę ledwie beatyfikacji za papieża Klemensa XIII. W katedrze krakowskiej nie było całkiem jego relikwii! Dopiero w r. 1898 biskup krakowski ks. kardynał Puzyna, przewiózł część relikwii, i umieścił je w marmurowej trumience w katedrze na Wawelu (obok grobowca króla Jana Olbrachta, w kaplicy na prawo za wielkim ołtarzem).

Wiąże się całe życie bł. Wincentego Kadłubka ze sprawą, a raczej ze sprawami synodu łączyckiego. Brał udział w przygotowaniach, a studiował prawo kanoniczne w tym celu, żeby tym lepiej służyć samorządowi kościelnemu. Gdy o to chodziło, gotów był wszystko poświęcić. Kiedy otrzymał wiadomość, że Wielki książę przeznacza go na biskupstwo, oświadczył, że nie przyjmuje i nie przyjął, aż go formalnie wybrała kapituła, jak tego wymagało ówczesne prawo kanoniczne.

Samo odbycie synodu nie załatwiało jeszcze spraw samorządu Kościoła. Działanie synodu trwało długo po synodzie, zanim przyjęto jego uchwały we wszystkich dzielnicach piastowskich. Ciągnęła się ta sprawa przez całe życie Kadłubka, a dopiero po jego zgonie zakończyła się triumfem Kościoła. Ale już za jego życia powstało nawet w samej Wielkopolsce, pod rządami Mieszka Starego i jego synów, stronnictwo samorządowe. Pod tym hasłem walczone, zwalczano się, lub łączono: Całe to pokolenie współczesne Kadłubkowi, można śmiało nazwać pokoleniem synodu łączyckiego.

A zanim ono jeszcze zeszło do grobu, zabłysnął nad Polską istny wieniec świętości. Od bł. Grzymisławy poczynając, ciągnie się cały szereg mężów i niewiast świętobliwych, błogosławionych i świętych patronów polskich. Po większej części znał ich Kadłubek (kiedy byli jeszcze młodzi) osobiście, toteż i w następnym rozdziale nawinie się nieraz wspomnienie o nim.

7. ZAKONY

Kiedy św. Jadwiga śląska zamykała się w klasztorze swoim w Trzebnicy, uważała widocznie, że świat jest zepsuty już tak dalece, iż nie ma na nim miejsca dla cnotliwych. A zwłaszcza wielki świat. Mniemała, że na tym wielkim świecie nie da się należycie służyć Bogu, więc lepiej dla księżnych pozamykać się po klasztorach, skoro książęta sami nie mogą tego zrobić. Myliła się święta w ocenie współczesnej sobie doby. Właśnie kiełkowały nowe źdźbła bojaźni Bożej i nowe ziarna doskonalenia się; wschodziły nowe nasiona darów Ducha św., które już nawet poczynały wieńczyć się kłosami. Nie wiedziała, że we Włoszech powstają nowe twierdze dla potęgi Kościoła, dwa nowe wielkie zakony Dominikanów i Franciszkanów. Niebawem pojawiły się w Polsce. Jeszcze ona sama, św. Jadwiga miała mieć pod koniec życia w swojej Trzebnicy spowiednika Franciszkanina. I to dziecię, małeńka królowa Salomea, także jeszcze będzie Franciszkanką.

Kiedy Leszek Biały obejmował rządy, było w Polsce klasztorów benedyktyńskich 17, kamedulskich tylko 2, ale cysterskich, chociaż to był zakon nowszy, już 11. Wszy-

stkich klasztorów razem było 41. Przybyli zakonnicy jeszcze trzech reguł. Ciekawe jest powstanie tak zwanych Kanoników regularnych. Kapłani przebywający przy jednym kościele, wprowadzali życie wspólne tworząc tak zwane zgromadzenia kanoniczne; wpisywali się do nich często kapłani świeccy, zgromadzeni przy katedrach i kolegiatach i dlatego zwano ich kanonikami. Nie było atoli przymusu; owszem wielu biskupów było tego zdania, że lepiej, żeby członkowie grona katedralnego nie byli zakonnikami. Bywało więc i tak i owak. Niektórzy pozostali przy wspólności dóbr i życiu zakonnym, i takich zaczęto nazywać kanonikami regularnymi. Z czasem utracili oni związek z kapitułami przy katedrach, ale nazwa kanoników została. Do Polski przybyli w r. 1108 najpierw do Wrocławia; do końca XII w. mieli u nas klasztorów siedem.

Zakonnicy ci byli najbogatsi ze wszystkich, toteż garnęło się do nich wielu takich, którym nie koniecznie chodziło o Bożą chwałę. Zeświecczony zakon zreformował w r. 1121 św. Norbert, założyciel swego klasztoru w Pré Monré we Francji. Stąd reguła zowie się norbertańską lub Premonstrantów. Ci dostarczali chętnie misjonarzy. Do Polski przybyli za Bolesława Krzywoustego i mieli pierwszy klasztor w Kaliszu, który jednak niedługo istniał. Za Kazimierza Sprawiedliwego było norbertańskich klasztorów siedem.

Możnowładca Jaks z Miechowa, bawiąc na pielgrzymce w Palestynie, uczynił ślub, że wystawi w Polsce podobiznę świętego Grobu i założy fundację na odprawianie takich samych nabożeństw, jak przy grobie Zbawiciela. W ten sposób powstał w roku 1162 pierwszy klasztor Bożogrobców w Miechowie. Następny powstał dopiero znacznie później w r. 1214. Nie rozpowszechnili

się nigdy i przez cały okres piastowski mieli tylko czternaście klasztorów.

Wszystkich razem klasztorów, dawnej benedyktyńskiej i tych nowych reguł, było w Polsce za Kazimierza Sprawiedliwego 41. Każdy klasztor składał się (jak i dziś) z księży i braciszków. Ale braciszkami zostawali często ludzie wysokiego rodu, pragnący poświęcić się pracy umysłowej, do której nie było sposobności gdzie indziej, jak tylko w klasztorze. W klasztorach zagranicznych było wśród braciszków wielu wybitnych uczonych, sławnych artystów, zwłaszcza malarzy i architektów.

Była więc już zakonów różnorodność. Ale w ostatnich latach życia bł. Kadłubka powstały dwa nowe: Dominikanów i Franciszkanów i szybko stanęły na czele społeczeństwa.

Więc znów nowe zakony? Skąd i od czego ciągle nowe? Pytanie takie słyszy się często, słyszano je również często w dawniejszych wiekach. Znakomitość narodu polskiego, ks. Piotr Skarga (będzie o nim mowa później), odpowiedział na to jeszcze XVI wieku w te słowa:

„Jako gospodarz zawsze śle na robotę, ale nie jednakową i nie z jednymi naczyniami czeladkę; czasem posyła z pługami, czasem z siekierami, często z sierpami, a niekiedy z kosami; tak też póki byli biskupi, kapłani i pasterze świeccy pilni około siebie i zleconych dusz ludzkich, posyłał Pan Bóg szczerych pustelników, na wzór Jana Chrzciciela, ostrość żywota i milczenie a zatajenie miłujących... którzy tylko swego zbawienia pilnowali i ludziom samym przykładem do życia doskonałości drogę ukazywali. Lecz gdy na kapłanach i robotnikach kościelnych schodziło, z innym naczyniem posłał robotników Pan Bóg do winnicy swej, tj. z nauką i obcowaniem nieco towarzyskim z ludźmi... Taki był ten św. Dominik, i św. Franciszek...”

Słowa te pisane były w roku 1579, a wyjaśniają rzecz całą doskonale. Powstanie nowych nie uwłacza zresztą dawnym zakonom, które zazwyczaj trwają także nadal obok nowych. Rzadko kiedy zanika całkiem jakie zgromadzenie zakonne. Tak np. był we Francji zakon pontifiksów, tj. budowniczych mostów, bo obok praktyk życia religijnego, tę mieli praktykę życia powszedniego; ale gdy świeccy wyuczuli się już od nich tej specjalności, oni stali się już niepotrzebni. Niegdyś Cystersi mieli przy swych klasztorach to, co dziś nazywamy folwarczkiem wzorowym i rolniczą stacją doświadczalną. Obecnie nie potrzebujemy do tego klasztorów, ale Cystersi zostali (choć w liczbie wielce zmniejszonej), bo zajęli się czynnościami już parafialnymi.

Przez ca y ciąg historii Kościoła powstają nieustannie wciąż coraz nowe zakony; a czy obecnie za dni naszych mało ich powstało i ciągle dalej powstaje? Niemal każde pokolenie wytworzy gdzieś jakiś zakon (czasem nawet kilka) według swej najpilniejszej potrzeby. Miejsz i to na uwadze, że różnaitość, a jedność w różnaitości stanowi cechę cywilizacji łacińskiej, te cywilizacji, która jest córą Kościoła. Przeciwnie jest w Cerkwi bizantyńskiej; tam od początku wciąż jeden tylko jest zakon bazyliński. Bo też tam nie ma ani kaznodziejstwa, ani misji wewnętrznych.

Te właśnie dwa zabiegi życia religijnego stanowiły specjalność Dominikanów i Franciszkanów. Dominikanie nazywają się „zakonem kaznodziejskim”, bo św. Dominik pierwszy spostrzegł, że trzeba po kościołach koniecznie więcej kazań, niż bywało do jego czasów. A św. Franciszek z Assyżu pierwszy odkrył tę prawdę, że chcąc podnieść biedotę, trzeba iść samemu między nich. Zrobili się więc Franciszkanie najpierw specjalistami do misji wewnętrznych i potem dopiero niektóre z ich klasztorów

poświęcały się także zewnętrznym; gdy Dominikanie wykształcili wysoko kaznodziejstwo, z samych powołań kaznodziejskich musiało się wytworzyć przez prostą konsekwencję powołanie misyjne.

Św. Franciszek z Assyżu urodził się w r. 1182 we Włoszech północnych w mieście Assisi (spolszczone na Assyż), ale wcale nie nazywał się Franciszkiem. Pochodził z zamożnej kupieckiej rodziny Bernardonów, a na imię było mu Jan. Załatwiał zrazu ojcowskie interesy. Ojciec wyręczał się młodym do podróży handlowych i wysłał nieraz syna do Francji. Jan nauczył się po francusku i od tego obdarzono go w rodzinnym mieście przezwiskiem „Francuzika”, po włosku Francesco. Przewisko miało stać się nowym imieniem chrzestnym w całym świecie katolickim. Młody, obrotny, rzutki z Jana Franciszek, przebywszy ciężką chorobę, zmienił tryb życia, a oddał się przede wszystkim miłosierdziu pośród największych nędzarzy. Gdy mu rodzina odmówiła środków pieniężnych, począł żebrać... na żebraków. Od sąsiednich Benedyktynów uprosił sobie opuszczony i wałący się kościółek N. M. P. Anielskiej pod Assyżem na górcie zwanej Subazzo. Była to część drobna posiadłości benedyktyńskich, przez nich niemal zapomniana, i dla nich tak drobna, że nazywano ją „cząsteczką”, po włosku „portiuncula”. Zamieszkał w nędznej chatce przy tym kościółku. Wkrótce miał koło siebie 23 uczniów i wybierali się wszyscy na wędrówki misyjne. Były z początku trudności z zatwierdzeniem reguły prawdziwie żebraczej — i radzono nawet o tym na soborze laterańskim w r. 1215.

Poszedł Franciszek do Rzymu i tam spotkał się ze św. Dominikiem. Ten także przybył starać się o zatwierdzenie swojego zakonu, który również miał być zakonem żebrzącym.

Dominik był Hiszpanem, kanonikiem w Osma, bardzo poważanym uczonym. Biskup jego, wyjeżdżając raz do Francji południowej, zabrał Dominika z sobą. Podróż ta rozstrzygnęła o dalszym jego życiu. Tam, w krainach południowej Francji, szerzyła się herezja wielce niebezpieczna Albigensów. Właściwie niewiele chrześcijaństwa zostało u tych sekciarzy, skoro poprzekrećali w niemożliwy sposób naukę o Sakramentach św. Nie uznawali stanu kapłańskiego i urządzili rewolucję społeczną, wyracając fundamenty społeczeństwa, bo głosili komunizm; zaczęli od wspólności majątków, a po kilku latach doprowadzili do wspólności... kobiet. Robili tedy ze społeczeństwa cywilizowanego jakąś dzicz. Łagodnością nie można było z nimi nic wskórać, misje nie pomagały, a w r. 1209 zamordowali legata papieskiego. Posiedli oni znaczną siłę zbrojną, gdy dał im się opętać i stanął na ich czele Rajmund, hrabia Tuluzy. Zawrzała więc orężna wojna religijna, bo katolicy musieli także porwać za broń, zmuszeni bronić swych żon i córek, rodzin swych i mienia. Trwały te walki aż do r. 1219.

Św. Dominik miał sposobność poznać Albigensów z bliska i powziął tedy postanowienie, żeby założyć osobny zakon kaznodziejski, misyjny. Ponieważ zaś ci heretycy (jak zwykle heretycy) walczyli z Kościołem argumentem, że duchowieństwo nie powinno posiadać żadnych a żadnych dóbr ziemskich, mieli też Dominikanie stać się zakonem żebraczym, zakonem wędrujących ciągle misjonarzy, a utrzymujących się tylko z żebraniny.

Zupełnie tego samego chciał św. Franciszek, tylko że regułę obmyślił jeszcze surowszą; tak surową co do ubóstwa, iż zdaniem zwierzchności duchownej przerastała ludzkie możliwości. Dopiero w r. 1223 zatwierdziła Stolica apostołska regułę złagodzoną. Franciszkanie przebiegali Włochy, udawali się też między muzułmanów do północnej

Afryki, podczas gdy Dominikanie zaczęli swą działalność od południowej Francji. Potem rozwinąć się miały te zakony odmiennie. Dominikanie zajęli się bardziej naukami, podnieśli wysoko studia teologiczne i filozoficzne. Oni wydali spośród siebie największego filozofa katolickiego, św. Tomasza z Akwinu (żył w latach 1225—1274). Franciszkanie także mieli swoich uczonych, ale najzaszczytniej zaznaczyli się w dziejach sztuki kościelnej. Słynni są po wszystkie wieki malarze franciszkańscy, słynni też ich architekci. Żebractwo bezpośrednie usunęła następnie Stolica apostolska z reguł obu zakonów.

Ważną też rzeczą jest wiedzieć, że św. Dominik odznaczał się szczególniejszym nabożeństwem względem Najświętszej Marii Panny, co następnie przeszło na cały jego zakon.

Do Polski przybyli Franciszkanie dopiero w r. 1237, ale klasztor dominikański mieliśmy w Krakowie już w r. 1223, a pierwszych Dominikanów, i to rodowitych Polaków, jeszcze o pięć lat wcześniej, w r. 1218. Dlatego wcześniej mogli się rozwinąć, że od razu zaczynało się od Polaków. Dominikanie byli pierwszym zakonem, który w Polsce był od początku polskim. Wszystkie inne — i franciszkański także — składały się z początku z zakonników cudzoziemskich.

Św. Dominik nie musiał przysyłać do Polski swych uczniów, bo Polacy pierwsi sami do niego przyjechali. Zawdzięczamy to bł. Kadłubkowi, zwłaszcza jego stosunkom ze Śląskiem.

O dwanaście mil od klasztoru Trzebnickiego znajdowało się gniazdo znakomitego rodu Odrowążów, mianowicie na pograniczu księstw opolskiego i wrocławskiego, na południe od Wrocławia, w Kamienicy; było to pod władzą Henryka Brodatego. Ród Odrowążów celował za-

miłowaniem do nauki, czego najlepszym dowodem, że liczył natenczas pośród swych rodowców trzech kapłanów. Imiona ich Iwo, Czesław, Jacek. Znani byli biskupowi Kadłubkowi i cenieni przez niego. Czesława zrobił kanonikiem katedralnym krakowskim, Jacka polecił arcybiskupowi w Gnieźnie, dokąd też powołany został na archidiacona kapituły, Iwona zaś upatrzył sobie na swego następcę na biskupstwie krakowskim.

Według prawa kanonicznego trzeba na to osobnego pozwolenia papieskiego, żeby biskup mógł się zrzec swej diecezji. Zamierzając tedy usunąć się, powierzył tę sprawę Iwonowi, udającemu się do Rzymu. W r. 1217 skłonił bowiem wszystkich trzech, żeby jechali do Włoch, przede wszystkim dla studiów w Bolonii. Oczywiście, że każdy podróżnik, przybyły do Włoch, a zwłaszcza będąc kapłanem, jechał aż do Rzymu, bo jakżeż ominąć Rzym, gdy się już jest we Włoszech! Na papieskim dworze załatwiłby tedy Iwo rezygnację bł. Wincentego i prosiłby o pozwolenie, żeby mógł być jego następcą. W Bolonii zaś oprócz profesorów prawa kościelnego była jeszcze inna znakomitość: św. Dominik. I tak stało się, że Czesław i Jacek przywdziali tam habity dominikańskie. Polska otrzymała tedy nowy zakon wprost od jego założyciela. Jeszcze jeden Polak składał ślubowanie zakonne św. Dominikowi wraz z Odrowążami. Przyłączył się do nich w drodze do Włoch kapłan polski imieniem Sadok, towarzysząc im stale; i ten także wracał do Polski Dominikaninem. Ci trzej mieli powiększyć grono świętych patronów polskich.

Wszyscy uczniowie św. Dominika przejmowali się niezmierną czcią dla Matki Bożej, a klasztory dominikańskie stawały się ogniskami, w których obmyślano nowe nabożeństwa, specjalnie na cześć Najśw. Marii P. Dodajmy tu pewien szczegół: św. Jacka przedstawia się od początku

zawsze z posążkiem Najśw. Marii P., z którym nigdy się nie rozstawał. W Polsce takich posążków nie umiano jeszcze wyrabiać. Nabył go widocznie we Włoszech, i wszędzie z sobą woził; umieszczał go w kościele czy w kaplicy, gdzie odprawiał nabożeństwa i ustawiał na podróznym ołtarzyku swoim.

Zaczyna się więc historia Dominikanów w Polsce od razu od świętych Pańskich, od trzech nowych patronów, którzy razem powrócili do Polski w r. 1218. Na drogę powrotną pozyskano dwóch nowych towarzyszków: Niemca Hermana i Morawca Henryka. Pracowali po drodze szukając, gdzieby zasadzić winnicę Pańską. Dowodem tego klasztor dominikański, założony przez nich w Styrii w mieście Frysaku (Freisách), tudzież żywa tradycja, dochowana o pobycie św. Jacka wśród Słowieńców, we Velesowem w dziekanacie krańskim (Kranj) w prowincji Krainie.

Gdy wreszcie dotarli do Krakowa, bł. Wincenty Kadłubek rad był, że będzie mógł w ciszy klasztornej zająć się spisaniem swej historii polskiej i że daje Krakowowi nowego arcybiskupa w osobie Iwona Odrowąża, męża niepospolitego. Rządził on diecezją w latach 1218—1229. O jego staraniach i zasługach świadczą dwie świątynie, zaliczone słusznie do najpiękniejszych w Polsce: kościół dominikański, którego budowę rozpoczęto w roku 1223, a w trzy lata potem kładziono fundamenty pod kościół N. M. P. zwany popularnie „mariackim“ i pod tym mianem słynący nie tylko na całą Polskę, ale też za granicą.

Ród Odrowążów miał wydać współcześnie jeszcze jeden kwiat do wieńca świętości nad Polską. W rok po powrocie odwiedzili św. Jacek i Czesław swą rodzinną Kamienicę śląską, a widząc tam nadzwyczajną gorliwość religijną u swej siostry stryjecznej Bronisławy, namówili ją, by wstąpiła do klasztoru. Liczyła wtenczas lat sze-

snaście. Dominikanki jeszcze nie istniały. Żeńskich zakonów było wówczas w Polsce tylko dwa rodzaje: według reguły pierwotnej cysterskiej, lub norbertańskiej. Bardzo to jest znamienne, że bł. Bronisława nie wstępowała do Cystersek w Trzebnicy, chociaż to bliżej Kamienicy i chociaż tam jej własna księżna wrocławska przebywała od sześciu lat, a księżniczka była ksienią. Świadczenia współczesne zapisują wyraźnie, że sam św. Jacek doradził jej Norbertanki na Zwierzyńcu pod Krakowem (dziś nie pod, ale w Krakowie). Reguła ich bardzo surowa i są zupełnie odcięte od świata; nie o to więc chodziło, aby siostrze było tam lżej, łatwiej, niż w Trzebnicy. Chodziło widocznie o coś innego. Oto Kadłubek i ci trzej Odrowąże, to szczyty, wierzchołki najwyższe ówczesnej inteligencji polskiej, to uczeni kształceni we Włoszech, to wielcy panowie, Europejczycy, znający dwór papieski, a na dwory książęce piastowskie patrzący krytycznie. Stopień ich wykształcenia, tudzież ich znajomość świata, były bez porównania wyższe, niż np. u książęcej pary wrocławskiej, niż na dworze wrocławskim, a tym bardziej w klasztorze w Trzebnicy, gdzie w najlepszej wierze, przez naiwność, poziom ten był jeszcze bardziej obniżony. Powracający od św. Dominika Odrowążowie cenili klasztor trzebnicki; ale każdy ma prawo wybrać sobie, jakimi sposobami woli chwalić Pana Boga. Katolicyzm ceniący jedność w różności, podaje tych sposobów tyle! Nie wybrał więc św. Jacek Trzebnicy, bo się nie nadawały mu tamtejsze zwyczaje i posłał siostrę do Norbertanek, gdzie surowość życia nie łączyła się z pewnymi nawykami, które go razić musiały.

Ponieważ stryjeczny brat bł. Bronisławy, Iwo Odrowąż, jako biskup krakowski stale przebywał w pobliżu, nie trudno się domyśleć, że był on stałym jej kierowni-

kiem duchownym, i całego klasztoru w ogóle. Natomiast odwiedziny św. Jacka lub Czesława mogły się zdarzać bardzo rzadko, bo wyjątkowo tylko znajdowali się w Krakowie.

Trzej święci polscy Dominikanie rozjechali się od samego początku, ażeby szerzyć nową regułę zakonną i zakładać klasztory po całej Polsce i w krajach ościennych. Podzielili się tą pracą w ten sposób, że św. Sadok udał się na południe, na Węgry; bł. Czesław na zachód, od Śląska zaczynając i stamtąd dojeżdżając na Morawy i do Czech; św. Jacek zaś wziął na siebie strony północne i ruski wschód. Na wschodzie była schyzma, na północy pogaństwo prusackie, na południu w pogaństwie pogrążona jeszcze była część Węgier, mianowicie koczownicy Kumanowie.

Nazwa Kumanów pochodzi od Kumy, bardzo ciekawej rzeki, która ma źródła swe na północnych stokach wysokich gór Kaukaskich; płynie w kierunku północno-wschodnim przez okręg rosyjskiego miasta Stawropola, a dalej przepływa przez szereg jezior; niektóre z nich sama wytwarza zastojem powolnego biegu, i od jeziora do jeziora zbliża się ku morzu Kaspijskiemu, zanikając, ginąc w piaskach, jakimi pokryte tam są coraz rozleglejsze pustynne krainy. Ledwie tylko podczas wiosennych roztopów starczy Kumie wód na tyle, żeby mogła dopłynąć do Kaspiku, znajdując tam ujście dla siebie. Przepływa Kuma na przemian już to przez pustynie, już to przez stepy. Koczował tam od wieków lud na pół dziki, żyjący z trzód, jakie wypasał w nieustannej wędrówce, a w latach suszy dopomagający sobie łupieskimi wyprawami na sąsiadów dookoła, nawet na dalszych. Zwłaszcza dobijali się do granic cesarstwa bizantyńskiego. Piachy lotne zamieniały coraz więcej przestrzeni w pustynię, rzeka Kuma

coraz mniej zraszała i nawadniała stepy; stepów więc ubywało, trzody ginęły, głód zaglądał w oczy. Niektóre plemiona najmowały się na służbę wojskową cesarzom bizantyńskim i to wyprowadziło Kumanów w świat. Wodzowie bizantyńscy wysyłali ich coraz dalej, a często oni sami robili wyprawy na własną rękę, poszukując nowych stepów.

I znaleźli je w trzech stronach. Największe, zajęte przez Pieczyngów, nie daleko od Kijowa po morze Czarne i tych Pieczyngów wyparli. Nazywano ich tam Połowcami, a była już o nich mowa. Druga część zajęła nad dolnym Dunajem krainę zwaną Dobrudża; a trzecia pędząc w górę Dunaju trafiła na Węgry, odkrywając tam wspaniałe stepy nad rzekami Cisą i Dunajem. Po raz pierwszy zjawili się na nizinie węgierskiej w r. 1070, powtórnie w r. 1089. Królowie węgierscy wyrzucali ich, zadawali im ciężkie klęski; cofali się więc do pobratymców na Dobrudżę. Pozostawało jednak w rękę królów węgierskich mnóstwo jeńców kumańskich, nazbierało się ich kilkanaście tysięcy; wyznaczono im krainę zwaną Jazygią. Żądano od nich, żeby przyjęli chrześcijaństwo, co oni zrobili jednak tylko formalnie, a w rzeczywistości pozostali poganami. Misje zbierały nieraz obfite owoce, ale większość pozostawała pogańską. Dość powiedzieć, że całkowicie zapanowało między nimi chrześcijaństwo aż dopiero około r. 1350.

Kumanowie czyli Połowcy byli postrachem sąsiadów, jako łupieżcy groźni i barbarzyńscy, zamiłowani w mordach, choćby nawet bezcelowych. Do postrachu, jaki rozsiewali około siebie, dołączał się przesąd, jakoby byli jakimś wcieleniem szatanów. Odrazę budził sam ich wygląd, bo byli bardzo szpetni, a przy tym jakby łysi od samej młodości. Strzygli sobie bowiem włosy do samej skóry,

co raziło nieprzyjemnie czy to Rusinów, czy to Madiarów, zapuszczających bujne czupryny.

Z tymi Kumanami spotkał się tedy św. Sadok. Uczony Dominikanin uważał, że nawracanie będzie ułatwione, jeżeli będzie się łączyło z cywilizowaniem. Zainteresował się życiem tej dziczy, a nie najmniej ich językiem. Należało poznać go dokładnie, ażeby przetłumaczyć na ich język pacierz i zasadnicze wywody katechizmowe. Robione próby należało dla pamięci spisywać, mozoląc się, jak to wypisać abecadłem łacińskim. Były to bądź co bądź próby, pierwsze kroki, jakby język połowiecki (czyli kumański) zrobić piśmiennym. A z tego wszystkiego wniosek, że ten polski misjonarz trafił na właściwą metodę misyjną i wyprzedził w tym o długie wieki wszystkich innych! Dzisiaj wszystkie misje całego świata trzymają się tej właśnie metody, nie wiedząc, że używał jej św. Sadok już w pierwszej połowie wieku XIII.

Tam na kumańskiej misji spotkał się z nieznanym sobie dotychczas zakonem, z zakonem zgoła innego rodzaju. A było to jedno z najciekawszych spotkań historycznych! Zanim to wyjaśnimy, poznajmy jeszcze podróże dwóch innych świętych z tej świętej polskiej trójki dominikańskiej.

Drugi z naszych świętych Dominikanów, Czesław, obrał sobie Wrocław, jako ośrodek swego działania. Stąd odbywał podróże do Moraw i Czech aż do samej Pragi. Przewodnikiem na ziemiach czeskich pobratymców był mu ów Henryk Morawczyk, z którym razem wracał z Rzymu. Następnie udał się na Pomorze. Stałym atoli miejscem pobytu Czesława Odrowąża stał się Wrocław. Tam osiadł najpierw przy kościele św. Marcina, a od r. 1226 przy kościele św. Wojciecha, zakładając klasztor dominikański.

Trzeci, najważniejszy z trójki tych świętych, św. Jacek, jest największą polską postacią historyczną wieku XIII i jednym z najwybitniejszych mężów ówczesnej Europy; jest też w całej Europie znany, i wszędzie czczony. Jest to drugi po św. Wojciechu polityczny święty polski.

Gdy się czyta stare opracowania jego życia, aż wierzyć się nie chce, co mu przypisywano: jako misjonarskie jego podróże, sięgając na północy do Szwecji, na wschodzie sięgnęły nie tylko do Krymu i nad Bosfor, lecz do Azji środkowej i do Indyj i aż do Chin! Słowem byłby to i drugi św. Wojciech i polski poprzednik św. Franciszka Ksawerego.

Najpierw porywał dusze swymi kazaniami w katedrze na Wawelu. Bawił właśnie w Polsce legat papieski, którego bratanka pozyskał św. Jacek do zakonu. W r. 1223 gotowe już było pierwsze grono dominikańskie, z którego dochowało się nam pięć imion: Gerard, Godyn, Benedykt, Florian, Klimek. Osiedli przy kościele św. Trójcy, który już na zawsze pozostał dominikańskim.

Sprzyjał im wielce Leszek Biały, sprzyjała bł. Grzymisława. Spieszno im było mieć nowy zakon w swoim rodowym Sandomierzu. Jakoż wystawiono im tam klasztor w r. 1226. Widocznie odzywały się w Polsce coraz częściej powołania zakonne do reguły św. Dominika.

Bł. Grzymisława była, jak wiemy, Rusinką, ale katoliczką; tym bardziej przeto leżały jej na sercu misje ruskie. Nawrócić Ruś ze schyzmy! Do tego hasła przyłgnął też św. Jacek. Postanowiono zaś pozostawić ludności obrządek grecko-słowiański i wszystkie porządki cerkiewne, usuwając tylko lub poprawiając to, co stanowiło schyzmę lub z niej wynikało. Jest zatem św. Jacek twórcą kierunku unijackiego, tj. unii kościelnej Rusi z Rzymem, unii nie tykającej obrządku. Przy zawiązkach tego ruchu stoi też bł. Grzymisława.

Ruszył tedy św. Jacek do Kijowa, biorąc sobie za towarzyszy Godyna, Benedykta i Floriana. Przebywał nad Dnieprem w latach 1224—1227. Mówiliśmy już o tym, jak nie brakło na Rusi wpływów katolickich; a przy tym w Kijowie, mieście bardzo handlowym, była zawsze kolonia kupców z Zachodu, katolików (Polaków, Czechów, Niemców i innych). Miał więc o kogo oprzeć się nasz święty i tam na miejscu pozyskiwał nowych współpracowników. Dzięki temu rozszerzał coraz bardziej zakres swej pracy i udał się między Połowców. Równocześnie tedy nawracali Połowców, czyli Kumanów, św. Sadok nad rzeką Cisą, i św. Jacek nad Dnieprem.

Kiedy opuszczał Kijów, stał tam już klasztor dominikański przy kościele NMP., niegdyś benedyktyńskim z czasów Bolesława Wielkiego. Pozostawiał w Kijowie Godyna na stanowisku przeora, a potem objął tę godność Marcin, nowy Dominikanin, sprowadzony z Sandomierza.

Sam zaś św. Jacek nigdy nie przyjmował nigdzie urzędu przeora; a kiedy w r. 1227 urządzono już osobną prowincję polską dla Dominikanów, kazał być prowincjałem Gerardowi. Sam nie chciał być krępowany koniecznością pobytu na jednym miejscu, zawsze ruchliwy, wciąż w rozjazdach i pełen planów misjonarskich, zajęty nieustannie zadawanem sobie pytaniem: gdzie jeszcze założyć klasztor.

Zamiary jego zwróciły się teraz ku północy. Chciał zobaczyć dzieła bł. Czesława. Jakoż pracowali już Dominikanie aż na szczecińskim Pomorzu w Kamieniu, w siedzibie biskupstwa. W r. 1227 sam św. Jacek przybywa do Gdańska, zakłada klasztor, robiąc tam przeorem Benedykta. A tuż za Gdańskiem Prusacy! Jakżeż nie pomyśleć o misji pruskiej?

Tu jednak spotkał się z innymi misjonarzami. Spotkał się z kimś, a z kimś tym samym, co św. Sadok u Kumanów węgierskich — co w następnym rozdziale wyjaśnimy.

8. „ZAKON“.

Ażeby zrozumieć nowe znajomości, jakie porobili św. Jacek i św. Sadok, musimy się trochę cofnąć i nawiązać do krucjat.

Krucjaty przechodziły z początkiem XIII w. przez dziwne przesilenie. Potężna co do sił wojennych była czwarta z rzędu wyprawa krzyżowa (1202—1204). Zowie się w historii „łacińską“, dlatego, że wojsk krzyżowych użyto na zdobycie cesarstwa bizantyńskiego. Usuwano oczywiście schyzmę, religią państwową stawał się katolicyzm i to w obrządku rzymsko-łacińskim — ale trwało to nie całych 60 lat, po czym wróciło wszystko do dawnych urzędzeń bizantyńskich.

Krucjata ta sprawiła zawód bolesny. Uczucia ogółu podniecone były wyczekiwaniem, kiedyż nareszcie Jerozolima będzie na nowo w ręku chrześcijan? Zaczęto powszechnie tłumaczyć sobie, że widocznie ludy europejskie, dla ciężkich grzechów swoich, stały się niegodne, żeby posiadać miejsca święte pod swą władzą. W powszechnym przygnębieniu zrodził się nareszcie pomysł, że Bóg nie mógłby odmówić powodzenia takiej krucjacie, która składałaby się z ludzi czystych, niewinnych, bez-

grzesznych. Skądżeż wziąć takich tysiące, dziesiątki tysięcy? Chyba dzieci? I rzeczywiście urządzono we Francji krucjatę dzieci w r. 1212. Było to wzywaniem imienia Boskiego nadaremno! Kilkanaście tysięcy dzieci w pochodzie pieszym, który był uciążliwy dla dorosłych! Z chorób i z głodu wyginęła ta armia dziecięca, zanim doszła nad Adriatyk!

Polska, jak już wiemy, uwolniona była od krucjat palestyńskich, ale pod warunkiem walki z Prusakami i pracy misjonarskiej pośród nich. Wielki Książę Leszek Biały powziął w tym celu poważne zarządzenie. Sam zajęty był z konieczności i przeciwko swej woli, kłopotami i walkami na wszystkie strony, więc chciał, żeby był ktoś taki, kto by mógł poświęcać się bardziej sprawie pruskiej. Miał Leszek rodzonego brata imieniem Konrada, i nadał mu umyślnie dużą dzielnicę, całe Mazowsze i Kujawy, żeby rozporządzać mógł stale znaczniejszą siłą przeciwko Prusakom, którzy byli jego sąsiadami od północy. Spełniał książę mazowiecki nałożony na siebie obowiązek, jak mógł, nie szczczędając ani własnej osoby, lecz na próżno uganiał się z poganami. Okazało się, że nie da im rady.

Nie zabrakło też nigdy świątobliwych kapłanów, którzy pragnęli poświęcić życie nawracaniu Prusaków. W tym czasie właśnie zgłosił się do apostolskiej pracy mnich z Oliwy pod Gdańskiem, imieniem Krystyn (Chrystian). Papież Innocenty III ustanowił go w r. 1215 biskupem, pierwszym biskupem pruskim. Ten widząc, że Konrad Mazowiecki nawet Mazowsza od napaści pruskich ochronić nie zdoła, powziął zamiar, żeby na pograniczu prusko-mazowieckim ustanowić osobny zakon rycerski.

Zakony rycerskie, był to owoc krucjat. Wstępujący do nich rycerze musieli pozostać bezżenni, jak zakonnicy, ale pozostawali rycerzami, ślubując, że będą stale bronić chrześcijaństwa od napaści niewiernych. Główne były trzy

takie zakony: włoski Joannitów, francuski Templariuszów i niemiecki. Ten powstał w r. 1190, a zwał się urzędowo „zakonem rycerzy NMP. narodu niemieckiego“ — krótko zaś Krzyżakami od tego, że mieli wyszyty duży krzyż czarny na białym płaszczu.

Wszystkie te zakony rycerskie miały tworzyć w Palestynie wojsko stałe, gotowe zawsze odpierać napaści muzułmańskie. Posypały się z całej Europy olbrzymie fundusze na ten cel i Zakony rozporządzały w krótkim czasie niezmiernymi dostatkami, których używały z początku uczciwie, zgodnie z właściwym swym celem. Gdy jednak panowanie w Palestynie chwiać się zaczęło, gdy potem psuł się obyczaj i na dworach palestyńskich książąt i wśród ich rycerstwa, zepsucie zaczęło z wolna dosięgać także zakonów rycerskich. Przy Grobie św. utrzymywali tylko po jednym „domu“, a reszta ich siedziała sobie spokojnie w Europie na bogatych dobrach, zapisanych im przez pobożnych fundatorów w tej myśli, żeby nie zabrakło środków do walki w Palestynie.

Niemieccy Krzyżacy pierwsi przenieśli się do Europy. W r. 1211 przywołał ich król węgierski, wiadomy nam już Andrzej II, na pomoc do walki przeciwko pogańskim Kumanom, którzy niepokoili wciąż wschodnie granice jego królestwa. Nadał Krzyżakom w tym celu krainę pograniczną, ale ci zamiast wojować pogan, zaczęli tam organizować sobie własne państewko. Spostrzegłszy to król Andrzej, wypędził ich w r. 1225.

Były to właśnie lata bł. Sadoka na Węgrzech. Zapewne radował się ze sprowadzenia Krzyżaków, że cały zakon rycerski poprze jego prace misyjne. Patrzył następnie na ich zachowanie się, na ich pożądlivość świeckiego panowania, i widział czemu ich król wygania. Po wielkiej radości doznał wielkiego rozczarowania.

Na wzór tedy owych palestyńskich postanowiono urządzić polski zakon rycerski. Konrad oddał im na własność północny swój gród, Dobrzyń i stąd nazwano ich Braćmi Dobrzyńskimi. Spisywali się dzielnie i niebawem wystawili nad Wisłą nową warownię, Chełmno. Od tych grodów nazywano następnie okoliczne dwie krainy ziemiami Dobrzyńską i Chełmińską. Gdy tak się urządzano nad dolną Wisłą, dochodzi wiadomość, jako na rok 1217 Andrzej II węgierski zamierza przedsięwziąć krucjatę, ale palestyńską, i zwraca się o współudział do Polski. Papież Honoriusz III przejrzał, że siłami Węgier i Polski nie da się pokonać islamu w Azji i odzyskać Ziemi Świętej i że lepiej będzie, gdy Polska urządzi krucjatę pruską. Już wielu poskładało zobowiązania na ręce książąt i biskupów, gdy pismo papieskie kazało użyć tych sił na obronę własnego kraju od pogan. Ponowił Honoriusz III swe nawoływania w r. 1218, obiecując takie same odpusty i odpuszczenie grzechów, jakie udzielane bywały wyruszającym do Palestyny. Zaczęły się przygotowania. Ojciec św. przypuszczał, że nadciągnie też немало rycerstwa z zachodniej Europy i nadał w r. 1219 najwyższe zwierzchnictwo nad tymi spodziewanymi krzyżowcami arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. Ale to wszystko nie dopisało, a wojnę krzyżową przeciw Prusakom prowadził jesienią r. 1219 sam tylko Konrad książę mazowiecki. Oczywiście, bracia Dobrzyńscy zawsze pomagali.

W następnej pruskiej krucjacie r. 1222 wzięli udział obok Konrada Mazowieckiego także Leszek Biały i Henryk Brodaty wrocławski. Cofnięto zagony pogan, ale gdy książęta wrócili do siebie, gdy wszystko zostało na barkach Braci Dobrzyńskich, Prusacy zmówili się, żeby się pozbyć tego polskiego pogotowia wojennego. Uderzyli na nich z całych sił w r. 1224, walczyli bez ustanku, bo

ich było dużo i mogli się zmieniać. gdy tymczasem Bracia nie byli ani w przybliżeniu tak liczni, a Prusacy nie dawali im wytchnienia. Otoczeni, obleżeni, pozbawieni żywności, nie poddawali się jednak i do końca nie poddali; zostali wycięci jednak niemal w pień.

Na ten czas Henryk Brodaty udzielił Konradowi Mazowieckiemu rady, żeby powołać wypędzonych właśnie z Węgier Krzyżaków. Niestety, Konrad poszedł za tą wskazówką, a gdy Krzyżacy skwapliwie oświadczyli swoją gotowość, nadał im w r. 1226 ziemie Chełmińską i Nieszawską, po obu stronach Wisły. Był to najniezwyklejszy błąd polityczny, przeklinany przez wszystkie następne pokolenia Polaków. Oto Krzyżacy oddali od razu nietylko te ziemie, ale z góry wszystko, cokolwiek by zdobyli na Prusakach, pod władzę cesarza niemieckiego Fryderyka II, a cesarz nadał im to od siebie w lenno. Cesarze bywali zawsze bardzo pochopni do rozdawania nie swoich krajów! Krzyżacy zaś postanowili sobie z góry, że walczyć będą nie w interesie Polski (od której otrzymują nadania), lecz w interesie Niemiec, i że nie będą się uważali za lenników Piastowskich, lecz za cesarskich, nie zależnych zupełnie od Polski. Miało więc powstać kosztem Polski nowe państwo niemieckie nad dolną Wisłą i nad Bałtykiem.

Szczęściem dla Krzyżaków, nieszczęściem dla Polski, trafili oni w sam raz na czasy największego osłabienia sił państwowych polskich. Właściwie nie było wcale tych sił! Piastowie walczyli na zabój sami między sobą. Powiedziano, że w tych latach jedna połowa Piastów była w więzach u drugiej, jako pojmani jeńcy wojenni. A wojowali o każdy gród, choćby o drugorzędny gródek, byle wyrwać sąsiedniemu stryjcowi kawał ziemi. Wielki książę Leszek Biały, chcąc przywrócić pokój zwaśnionemu rodowi, wyznaczył na grudzień 1236 r. zjazd książęcy do

Gąsawy (nieco na północny-wschód od Gniezna), żeby tam załatwić wszystkie spory sądem polubownym. Ale w Gąsawie stała się straszna zbrodnia. Na zebranych książąt napadł zdradziecko Światopełk pomorski. Ranny Henryk Brodaty ledwie zdołał się ocalić, a Leszek Biały padł ofiarą, zabity przez siepaczy w sąsiedniej wiosce, Marcinkowie.

Syn Leszka i Grzymisławy, Bolesław (któremu nadano później przydomek Wstydliwego) liczył zaledwie półtora roku. Zaczęła się wojna o rządy opiekuńcze pomiędzy Konradem Mazowieckim, a Henrykiem Brodatym. Trwały te boje siedem lat. Chociaż z początku Konrad był górą, w końcu jednak utrzymał się przy Krakowie książę wrocławski.

W tym właśnie czasie papież Grzegorz IX wymusił wyprawę krzyżową na cesarzu Fryderyku II. Zobowiązał się on już dawno do tego, ale przyrzeczeń najuroczystszych nie dotrzymywał. Obarczył go więc papież klątwą i wtenczas dopiero cesarz wyruszył w r. 1228. Sprzyjało mu szczęście, gdyż odzyskał Jerozolimę i Nazaret. Ale nie trwało to długo. W kilkanaście lat potem, w r. 1244 utracono Jerozolimę ponownie, tym razem na zawsze.

Wieści o tej krucjacie zachęcały Polskę do krucjat pruskich, a tymczasem kraj pogrążony był w wojnie o Kraków, rzekomo o opiekę nad nieletnim Bolesławem Wstydliwym. Jak powiedziano wyżej, ostatecznie utrzymał się Henryk Brodaty.

Ten książę miał szalone szczęście. Tak się zbiegły okoliczności, że i na Górnym Śląsku nastali książęta małoletni, a on sprawował za nich rządy, jako ich opiekun. Następnie syn Mieszka Starego, Władysław Laskonogi, mianował go swym dziedzicem, a książę Brodaty, wyprawiwszy się z swym wojskiem, zajął Wielkopolskę od za-

chodu aż po rzekę Wartę. W r. 1234 posiadał już cały Śląsk, Krakowskie, Sandomierskie i połowę Wielkopolski. Miał stanowczą przewagę nad całym rodem Piastów i zdawało się, że gałąź śląska pokieruje dalszymi losami Polski.

Podczas tej wojny o opiekę, a w rzeczy samej o Wielkie księstwo, Konrad Mazowiecki, który w ogóle nie miał skrupułów w doborze środków, powiedział sobie, że najlepiej będzie, jeżeli nieletniego Bolesława wraz z jego matką dostanie w swą moc i już ich nie wypuści. Podstępem zwiabił w r. 1232 do siebie bł. Grzymisławę z synkiem i więził ich blisko przez trzy lata na zamku w Sieciechowie. Zlitował się wreszcie nad nimi rycerz Klemens z Ruszczy i z jego pomocą uszli szczęśliwie z więzienia. Odtąd szala przechylała się już coraz bardziej na stronę Brodatego, a rzecz prosta, że bł. Grzymisława popierała wszystkimi swymi wpływami Henryka przeciw Konradowi. Jakoż sprawował rządy na Wawelu Henryk w latach 1234—1238.

W sam raz po zbrodni w Gąsawie i na początek owej wojny o rządy opiekuńcze przypada przyjazd św. Jacka do Gdańska. Któż miał wtedy czas i sposobność pilnować Krzyżaków?! Któż wówczas zajmował się Pomorzem? A gdy książę mazowiecki wszystkie swe siły obracał na wojnę domową z księciem wrocławskim, Mazowsze stało się zupełnie bezbronne wobec Prusaków, i wszyscy tam radzi byli Krzyżakom, bo u nich było stałe pogotowie wojenne. Zabierali dla siebie co się dało, ale bądź co bądź Prusaków trzymali na wodzy.

Tak się więc okoliczności ułożyły pomyślnie dla niemieckiego zakonu rycerskiego, iż nawet mąż tak doświadczony, jak św. Jacek, sprzyjał im. Niewiadomo, czy miał jakie wiadomości od bł. Sadoka; ale choćby wiedział był o krzyżackich sprawkach tam na Węgrzech, tutaj nad

Bałtykiem musiał kierować się względami na to, żeby Mazowsze miało spokój i zabezpieczoną granicę północną. Nie mógł też urządzić misji pruskich bez poparcia tych niemieckich rycerzy, a więc tym samym nie mógł występować przeciwko nim. Krzyżacy zaś we własnym interesie pragnęli misji stałych, jakimi stałyby się klasztory dominikańskie. Mógł więc św. Jacek nie poprzestać na Gdańsku, lecz założyć klasztory w Chełmnie i w Toruniu. Kiedy Krzyżacy zakładali potem miasto Elbląg, z góry oznaczyli miejsce, gdzie ma się stawiać klasztor dla Dominikanów.

A kiedy skończyła się wojna o rządy opiekuńcze, pomagano Krzyżakom ze strony polskiej i pomagano z całych sił, żeby skończyć z Prusakami. Pod wodzą Konrada Mazowieckiego zdobywali ziemię Chełmińską, a w r. 1234 urządzono dla nich wyprawę krzyżową, jakiej przedtem nigdy nie bywało. Stawiła się tym razem obok Mazowsza, Śląska, Małopolski, także Wielkopolska i nawet Pomorze. Zdobyto wtenczas pierwszą krainę pruską, bursztynowe wybrzeże Pomeranii i oddano je Krzyżakom na własność. Wdzięczni za to po swojemu, rzucili się tegoż roku na posiadłości Braci Dobrzyńskich i przywłaszczyli je sobie. Reszta naszych braci przeniosła się wtedy na wschód do Drohiczyzna, gdzie wyginęli w walce z pogzańskim plemieniem Jadźwingów (którzy byli pobratymcami Prusaków i Litwinów).

Takie działy się rzeczy, gdy św. Jacek przebywał w Gdańsku i krainach pruskich, zdobywanych przez Krzyżaków. Czyż mógł przewidywać, do jakiego stopnia „Zakon rycerski“ będzie się sprawował nie po zakonnemu i nie po rycersku? Czyż mógł przewidywać, że nawet te klasztory dominikańskie, które tam zakładał, obróca się pod panowaniem krzyżackim na wspak, na zgorzenie

całemu światu? Któż by mógł być przewidzieć, że Stolica apostolska nazwie Krzyżaków publicznie, przed całą Europą, najgorszymi wrogami Chrystusa? Czyż ci książęta polscy, którzy dopomagali Krzyżakom zdobywać ziemie pruskie, mogli byli przewidywać, że popierają największego wroga Polski? A któż by mógł być przewidzieć, że nawracanie Prusaków będzie polegało na wytępieniu ich, na zgładzeniu tego ludu z powierzchni ziemi, tak iżby ani śladu po nim nie zostało? A oni założyli sobie tam państwo świeckie, które rozrosło się potem w królestwo pruskie! Bo nawet nazwę Prusaków przywłaszczyli sobie od wytępionego ludu!

Dopiero gdy Krzyżacy dopuścili się więcej niecznych sprawek względem Polaków, poczęto się zastanawiać, co to ma znaczyć i co to za zakon rycerski! Oj Zakon! Poczęto szydzić, że to zakon na wspak i szydersko nazywano już Krzyżaków inaczej, jak Zakonem. I to już zostało! Do dnia dzisiejszego, gdy się w polskiej książce historycznej czyta „Zakon“ bez żadnego dodatku, który zakon, trzeba się zawsze domyślać tego niemieckiego zakonu rycerskiego.

Ale wracajmy do św. Jacka. Nie miał zwyczaju przebywać w jakim kraju długo. Po pewnym czasie wyręczał się uczniami swymi, a sam przenosił się w inne strony, nieraz bardzo odległe, ażeby gdzie indziej posiać zbożne ziarno. W całym żywocie tego wielkiego świętego natrafiamy raz w raz na lata, w których nie wiemy, gdzie się podziewa, a trudno przypuścić, żeby ten niezmordowany podróżnik przesiadywał po kilkanaście lat na jednym miejscu. Nagłość i nadzwyczajna szybkość w przenoszeniu się z jednego końca Polski na drugi przypomina owego wielkiego wojownika z 47 bitew; doprawdy pod tym względem był św. Jacek jakby nowym Bolesławem Krzywoustym w zakonnym habicie!

Podobniez było z pobytem na Pomorzu i w Prusiech. Zniknął i zjawił się w Skandynawii, w Szwecji po drugiej stronie Bałtyku! Zabrał z sobą ucznia imieniem Janusza, którego tam pozostawił. Został on potem arcybiskupem Upsali, prymasem Szwecji i zaliczony jest również w poczet świętych. Będziemy mieli sposobność spotkać się z nim w dalszym ciągu tej książki.

Ale w r. 1236 spotykamy św. Jacka w samym Kwidzynie (Marienwerder), w stolicy nowego państwa krzyżackiego. Tam doszła go wieść, że przybyły do Polski legat papieski Wilhelm, biskup Modeny z Włoch, rzucił klątwę na Henryka Brodatego. Stało się to z oskarżenia arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki, że gdy Henryk zagarniał Wielkopolskę po Wartę, nie uszanował dóbr katedry gnieźnieńskiej i dokonał na niej najazdu, pustosząc i grabiąc. Przypomnijmy sobie, jak to Odrowążowie nie mieli nigdy zaufania do tego księcia, a mając Wrocław tak blisko, opierali się zawsze o Kraków. Oczywiście, Henryk Brodaty szybko przeprosił arcybiskupa i wynagrodził szkody porobione przez swych żołnierzy.

W dwa lata później skończyły się dni tego księcia. W śmiertelnej chorobie pragnął gorąco zobaczyć się jeszcze z żoną. Ale św. Jadwiga trzebnicka nie ruszyła się ze swej celi, ani też na pogrzeb nie przyszła. Takie miała pojęcie o umartwieniach, a umartwienia uważała za największy obowiązek.

Bolesław Wstydlivy liczył lat dwanaście, jeszcze nie „oreźny“, a więc trwała dalej opieka. Pozostała przy gałęzi śląskiej. Syn Brodatego, Henryk II Pobożny, wraz z całą rozległą spuścizną po ojcu, objął również rządy na Wawelu. Bolesława nie można było jeszcze postawić na czele państwa, ale do ożenku był (według ówczesnych pojęć) dość duży. Gdy w roku następnym, 1239, skończył

lat 13, ledwie zaczął 14, zaraz go ożeniono. Był w tym czynnym świątobliwy kanonik krakowski, bł. Prandota, który prawemu dziedzicowi tronu chciał zawczasu zapewnić przyjaźń i oparcie, a to w dynastii węgierskiej Arpadów. Wybrano na oblubienicę i przyszłą Wielką Księżną królowną węgierską, córkę króla Beli IV, pięcioletnią Kunegundę czyli Kingę. Było to więc małżeństwo na przyszłość! Na razie bł. Grzymisława wychowywała dalej Bolesława i przybrała sobie za wychowankę Kingę, dziecinę, która miała także kiedyś stać się patronką Polski. Kierował zaś ich wychowaniem bł. Prandota. Wieniec świętości rozwijał się ponad Polską coraz bujniej.

Polska miała obowiązek historyczny szerzyć katolicyzm i cywilizację łacińską wokół siebie. Schizmą otoczona była od wschodu, od Rusi, a pogaństwem od północy i północnego wschodu. Prusacy nie byli jedynymi poganami w naszym sąsiedztwie. W pogaństwie był pograżony cały szczepek bałtycki, wszystkie jego ludy: Prusacy, Jadźwingowie, Litwini, Żmujdzini, Łotewcy. Trzy z tych ludów sąsiadowały z Polską. Obok Prusaków także Jadźwingi i Litwini dawali się we znaki Mazowszu, łupiąc kraj i uprowadzając mieszkańców w niewolę. Zwłaszcza najazdów z Litwy było dużo. Ci poganie nie zamierzali nawet rozszerzać swego państwa ku zachodowi; splądrowali, zabrali jeńców i wracali z łupami do siebie. Najcenniejszym łupem był właśnie jeńiec, bo rękoma polskich jeńców zaprowadzali u siebie rolnictwo, którego jeszcze wówczas nie znali. Takich przymusowych rolników nazywano na Litwie do końca wieku XIII przeszło 20 tysięcy. Świadczy to nie zaszczytnie o słabości książąt mazowieckich, którzy żadnemu nieprzyjacielowi zewnętrznemu rady dać nie mogli.

Nie ginie marnie chrześcijanin wśród pogan, i nie

tylko pozostaje chrześcijaninem, lecz nieraz staje się misjonarzem. Udziela wyjaśnień o wierze świętej, opowiada i rozpowiada, bo nieraz znajduje ciekawych słuchaczy; nieraz sami go wypytyują i do opowiadania zachęcają. Ponieważ jeńców trzeba było dla celów rolniczych osadzać gromadnie, wykonywali więc obrządki swe chrześcijanie całą gromadą, modlili się razem, starali się obchodzić niedziele i święta itp. a to wszystko działało na pogan, jakby propaganda, choćby nawet nieświadoma. To pewna, że znaczna część Litwinów obznajmiała się jako tako z chrześcijaństwem.

Kościół polski nie mógł tych jeńców na Litwie pozostawić bez pociech religijnych. Dojeżdżali więc tam raz po raz ofiarni misjonarze, którzy znajdowali wzajemnie pośród tej katolickiej ludności oparcie i poparcie, żeby też próbować misjonarstwa wśród Litwinów.

Na Litwie pierwotnie nie było znaczniejszej organizacji państwowej; każda okolica wiodła odrębne życie, mając nad sobą tylko drobnych książąt plemiennych. Ale ludność litewska graniczyła od wschodu i od południa z waregskimi książętami Rusi, którzy okazali się zaborczykami. Obrona przed ruską zaborczością wywołała pierwszą organizację polityczną na Litwie, bo trzeba się było skupić pod wspólnym wodzem. W ten sposób powstawały księstwa, których około r. 1200 było na Litwie pięć, a dwa na Żmudzi. W walkach z Rusią, coraz bardziej rozdrobnioną, okazali się Litwini niebawem silniejsi, bo się coraz bardziej jednoczyli. Niebawem książęta litewscy poczęli czynić zabory na Rusi. Około r. 1200 zdobyli Grodno nad średnim Niemnem, a w r. 1209 najechali po raz pierwszy Wołyń i doszli aż do południowego dorzecza Prypeci. Była to tylko łupieska wyprawa, jakby na próbę. Wnet jednak zaczęli systematyczny podbój, a zaczęli go

od tak zwanej Czarnej Rusi, kraju oddzielającego Litwę od Wołynia, pomiędzy górnym Niemnem a Prypecią. Tego podboju dokończyli w r. 1224 pod wodzą Mendoga. Książę ten shołdował sobie wkrótce potem całą Litwę, jako jedynowładca, a usuwanym z Litwy dawnym księżętom dawał nadania na Rusi. Zwrócił też swe wyprawy na Ruś północną, pod Smoleńsk i Połock, nad górny Dniepr i nad Dźwinę.

Stąd nie daleko do Inflant. Tam nad dolną Dźwiną, na ziemi pogõeńskiej łotewskiej było już osadnictwo kupieckie niemieckie i powstało duże miasto handlowe, Ryga. Do walki z Łotyszami założono w r. 1204 osobny zakon rycerski, tak zwanych Kawalerów Mieczowych. Ci rozszerzali szybko zdobycze swoje na Łotwie, i zaczęli następnie zapuszczać zagony na Litwę. O nawracaniu wcale nie myśleli! Ale wobec Litwy okazali się za słabi.

Właśnie wtedy sprowadził Konrad Mazowiecki Krzyżaków. Ci szerzyli swe podboje od dolnej Wisły poprzez kraj pruski coraz dalej w kierunku Inflant, położonych także nad Bałtykiem na północnym wschodzie. Od Prus oddzielała Inflanty Żmujdź. Gdyby ją zdobyć, złączyłoby się dwoje osadnictw niemieckich nad morzem Bałtyckim. Ażeby tego dokonać, złączyły się oba niemieckie zakony rycerskie. Miało więc powstać nad Bałtykiem wielkie państwo od dolnej Wisły aż poza dolną Dźwinę. Połączenie zaś obu zakonów odbyło się w ten sposób, że Kawalerowie Mieczowi rozwiązali swój zakon w r. 1237 i sami wszyscy dobrowolnie wstąpili do Krzyżaków. W ten sposób posiadł Zakon drugi już kraj nad Bałtykiem, mianowicie Inflanty.

Odtąd Zakon sąsiadował z Litwą i uważał, że jak Prusy i Inflanty, podobnie i Litwa powinna mu przypaść. Mendog miał odtąd od północy potężnego nieprzyjaciela.

Ale również od południa widział się Mendog zagrożonym, bo tymczasem fortuna zaczęła się przechylać znów na stronę ruską. Na czele stanęli Rurykowicze z Halicza.

Sprawy halickie opuściliśmy w rozdziale szóstym na roku 1214, na koronacji dziecięcej pary Kolomana i Salomei. Chowały się te dzieci na węgierskim dworze w stolicy Węgier, w Budzynie. Ale niebawem Rurykowicze wystąpili energicznie. Dorastający Daniel (syn poległego pod Zawichostem Romana) zebrał siły orężne i ze swego Włodzimierza wołyńskiego wybrał się na podbój Halicza. Wtedy wyprawiono z Budzyna dziewięcioletniego Kolomana z siedmioletnią Salomeą, żeby zajęli swoje królestwo i żeby królowali w Haliczu, zanim Daniel tam dojdzie. Wojsko węgierskie wprowadziło tę dziecięcą parę królewską, i to wojsko starło się z hufcem Daniela. Wynik był dla polityki węgierskiej opłakany. Król z królową dostali się do niewoli, w której wypadło im przeżyć trzy lata, 1218—1221. Nie wesołe mieli wspomnienia z dzieciństwa!

Zaniosło się na wielką wojnę, Rurykowicze sprowadzili aż z północnej Rusi najlepszego z całego swego rodu wojownika, ks. Mściława Udałego, który po kilkuletnich walkach wycofał się w sposób zupełnie taki sam, jak przedtem Leszek Biały: córkę swą wydał za rodzonnego brata Kolomana, Andrzeja i tej nowej parze oddał Halicz w r. 1227. Następowala więc zmiana węgierskich królewiczów. Salomea Leszkówna liczyła już lat szesnaście, a Koloman kończył lat ośmnaście. Ślubowali atoli powściągliwość, czego też dotrzymani. Na dalszy swój los czekali w Budzynie. Po pewnym czasie powierzył ojciec Kolomanowi zarząd Chorwacji; tam więc pomiędzy Słowian południowych towarzyszyła mężowi bł. Salomea. Na węgierski tron Koloman nie miał wstąpić; ojciec jego Bela IV żył i panował do r. 1270; synowi zaś nie było

dane przeżyć roku 1241. Bł. Salomea była więc w tym czasie tylko królewiczową węgierską.

Dorosłemu już tymczasem Danielowi sprzyjało szczęście, Opanował Podole, dorzecze Piny, Drohobuż i Łuck, z którego pochodziła bł. Grzymisława. Z Halicza był wprawdzie dwa razy wypędzany, ale zawładnął tym grodem po raz trzeci w r. 1239.

Zastał w Haliczu św. Jacka i dwa klasztory: dominikański i franciszkański.

Księstwo halickie, ta polska ziemia Lachów, graniczyło od zachodu z diecezją krakowską, a zatem krakowscy biskupi winni byli przede wszystkim pilnować tam misyj, żeby nawracać ze schizmy. Ale ci mieli pełne ręce roboty i kłopotów we własnej olbrzymiej diecezji, zwłaszcza, że duchowieństwa było zawsze za mało. Czytaliśmy, jak za Bolesława Krzywoustego Cystersi odmówili misjonarstwa. Dopiero za Leszka Białego powiodło się utworzyć osobne misyjne biskupstwo Rusi, a biskupem został opat Cystersów w Opatowie, tuż nad Wisłą, imieniem Bernard. Sam misjami się nie trudził, bo niebawem zajęły się tym nowe zakony św. Dominika i św. Franciszka. Nie poprzestając na Rusi, wciągnęły i Litwę w zakres swego działania; ale na Rusi czynni byli głównie Dominikanie, a na Litwie głównie Franciszkanie, niosąc tam pociechy religijne polskim jeńcom, tym niewolnikom osadzonym na roli.

Skąd, z której strony świata przybył wówczas do Halicza św. Jacek, nie wiadomo. Daniel nie robił trudności misjom katolickim — ale nagle cała praca została wstrzymaną przez wydarzenie straszliwe. Był nim najazd mongolski, pogański najazd. Zapewne więc będzie Polski bronić Zakon, korzystający z dobrodziejstw książąt piastowskich? Zobaczmy w następnym rozdziale.

9. PIERWSZY NAJAZD MONGOLSKI

W rok po ślubie Kingi z Bolesławem zaczęła się najcięższa plaga dla narodu i Kościoła polskiego: najazdy mongolskie. Spotkamy znanych nam już świętych wśród okrutnych cierpień, wśród pożóg i gruzów, na ruinach świątyń i miast całych.

Początek nieszczęścia tkwił daleko w Azji.

Z ludów rasy żółtej utworzyło się w Azji środkowej państwo mongolskie, złożone z szeregu hanatów, pod zwierzchnictwem hana najwyższego, dżingishana, kierującego dalszymi podbojami, które objęły po pewnym czasie całą Azję aż do oceanu Wielkiego, wraz z Chinami. Zdobywali bez zbyteńgo trudu wielkie kraje, bo u nich całe społeczeństwo zorganizowane było wyłącznie po wojskowemu. Oni pierwsi od czasów starożytnego cesarstwa rzymskiego urządzili wielkie armie stałe, ze stałym korpusem oficerskim; oni pierwsi w ogóle wprowadzili umundurowanie. Kiedy uderzyli następnie na Europę, nic im się oprzeć nie mogło. W Europie nie miano pojęcia, że mogłoby istnieć takie duże wojsko: cała Europa razem nie zdobyła się ani na trzecią część tego wojska, jakim oni rozporządzali. A była to armia regularna, wspianała, karna,

bitna, a zaopatrzona wybornie. Nie tylko ilością przeważali nad drobnymi w stosunku do nich siłami zbrojnymi krajów, na które napadali, ale co ważniejsza, oni o wiele lepiej znali się na sztuce wojennej. Rycerstwo europejskie wojowało w ten sposób, że bitwa składała się z licznych pojedynków, gdy tymczasem Mongołowie posiadali wydoskonaloną strategię i taktykę tj. sposoby obmyślania planów wojennych i wykonywania ich w taki sposób, iż największe męstwo nie pomogło, gdy wpędzili nieprzyjaciela na pozycję dla niego nie korzystną. Nie umiano się od nich bronić, bo wojowali w sposób zupełnie odmienny, niż europejskie rycerstwo: nie z bliska, miecz przeciw mieczowi, twarzą w twarz, lecz z daleka, okalając nieprzyjaciela szerokimi łukami, oskrzydłając go. W jeździe konnej nikt im nie dorównał. Ruszali dziesiątkami tysięcy jeźdźców naraz, zajmując pochodem swym kilkumilowe przestrzenie, a tak wszystko niszczyli po drodze, że powiadano o nich, jako trawa nie porośnie, kędy oni przejdą.

Był ktoś kto przewidział najazdy mongolskie nie tylko na Ruś, ale i dalej na zachód. Dominikanie węgierscy zapędzili się z misjami daleko na wschód. Jeden z nich Julian imieniem, wiedząc, że przodkowie Madziarów przybyli gdzieś z nad górnej Wołgi, ciekaw był ich kolebki i powiodło mu się odkryć ją. Płynąc w r. 1237 w górę Wołgi, w okolicy dzisiejszego Kazania spotkał lud mówiący narzeczem madziarskim. Cała olbrzymia równina pomiędzy Wołgą a górami Uralskimi, zwana Kipczakiem, należała już do państwa mongolskiego. Rządy mongolskie były wówczas całkiem bezreligijne, ale żadnego wyznania nie prześladowały; zezwalano więc Julianowi na zupełną swobodę w pracach misjonarskich (które były atoli bezskuteczne). Otóż ten mnich Julian, stykający się ciągle

z władzami mongolskimi, zapowiadał, że Mongołowie urządzą wkrótce wielką wyprawę zdobywczą i ostrzegął, że ruszą daleko na zachód, że niebezpieczeństwo może grozić nawet Niemcom.

Na głównego wodza wyprawy wyznaczał ówczesny dżingishan władcę Kipczaku, zwanego Batu-han. Miały więc wojować głównie ludy stepowe, stepowcy, co w ich języku nazywa się „tatir“ i stąd nazwa Tatarów. Szpiegowie rozbiegli się już na setki mil od Kipczaku i przygotowywali grunt pod sympatie plemienne u Kumanów i Madziarów (którzy także do rasy mongolskiej należą). Zbadali, że chcąc zająć Węgry, trzeba zniszczyć południową Polskę, rzucić postrach na Czechy i Niemcy, żeby król węgierski nie mógł otrzymać pomocy — słowem gotów był zawczasu cały plan kampanii; nawet o zaprowiantowaniu wielkiej armii pomyślano. Z tym planem wojennym, opracowanym bardzo dokładnie, nie tajono się, skoro nawet obcy przybysz, Dominikanin Julian, mógł go znać w głównych zarysach. Tylko Rurykowicze nie wiedzieli o niczym.

Ruszył Batu-han w 150.000 żołnierzy. Liczba ta była na ówczesne stosunki europejskie tak ogromną, iż wprost niepojętą. Bo kto gdzie w całej ówczesnej Europie mógł mieć wyobrażenie, jak wygląda armia choćby stutysięczna? U nas np. wszyscy Piastowie razem nie mieli do rozporządzenia ani dziesięciu tysięcy zbrojnych! A przy tym co za różnica wszelkich urzędzeń wojskowych! Nawet zachodnio-europejskie wojska, nawet francuskie z krucjat, były jakby milicjami ochotników wobec regularnej armii Batu-hana.

Zaczęło się w grudniu 1237 r. Do wiosny 1238 zajęto rozległy kraj od Rjazania poprzez Moskwę aż do Tweru, a zajęto z taką łatwością, iż nie trzeba było staczać za-

dnej walnej bitwy. Były tylko cztery potyczki, zamienione przez Tatarów w rzezie. W kwietniu 1238 cofnęła się atoli armia cała, bo odwołano ją do Azji i Ruś południowa, najazdem jeszcze nie tknięta, zyskała zwłokę aż do późnej jesieni 1240 roku.

Cała Ruś południowa znajdowała się w roku 1240 pod jednym władcą. Albowiem Daniel Romanowicz właśnie na wiosnę tego roku został także panem Kijowa, tuż przed najazdem Azjatów. Miał więc Daniel panowanie tak rozległe, jakiego już dawno na Rusi nie widziano, od Dniepru aż po Karpaty. Ale wobec potężnego Batu-hana był drobnym książątkiem. Kijów zrównali Mongołowie z ziemią, a w grudniu 1240 roku tliły się już zgliszcza Halicza.

Dominikanie haliccy opuścili Halicz dość wcześnie, a kierowali się przez Karpaty na Węgry. Nie zdawano sobie całkiem sprawy z tego, że królestwo węgierskie jest zagrożone! Czy św. Jacek także z braćmi podązał na Węgry, czy też udał się sam w stronę Krakowa, nie wiadomo. Ale dochowała się tradycja, że uniósł z sobą ów posążek N. Marii P., z którym nie rozstawał się nigdy od włoskich swych czasów; i tak go się przedstawia na wizerunkach, przyciskającego posążek jedną ręką do swego boku. W drugiej ręce wzniesionej, trzyma Najśw. Sakrament. Rozumie się samo przez się, że Dominikanie haliccy zabrali z sobą wszystkie poświęcone hostie, że ich nie zostawili Tatarom.

Książę Daniel, nie próbując nawet obrony, schronił się także na Węgry. Z deszczu pod rynnę! Cały najazd na Ruś był dopiero przygotowaniem do właściwego celu wojny, do zdobycia i zaboru Węgier. Chcieli wcielić Węgry do swego państwa na stałe. Batu występował wobec Kumanów a także Madziarów jako pobratymiec, jako pra-

wy ich władca — i miał stronników. Była urządzona cała kancelaria madziarska, wydająca dokumenty ze wszystkimi formalnościami. Ustanowiono wójtów, sądy i puszczo-
no w obieg własną miedzianą monetę kipczacko-madziarską. W administracji panował zaś wzorowy porządek, a żołnierze płacili za wszystko gotówką.

Urzędnikami najeźdniczej administracji byli Chińczycy, najbardziej wykształceni ze wszystkich ludów podległych dżingishanom. Wszystkie te zarządzenia świadczą, że mieli na myśli stały zabór Węgier; a brak wszelkich tych zarządzeń w Polsce wskazuje, że nie mieli zamiaru opanowywać ziemi polskiej. Przejechano przez Polskę huraganem, żeby okrążyć Węgry.

Równocześnie toczyła się wojna tu i tam. Obliczenia zaś strategiczne wodzów tatarskich okazały się trafne, a plan cały wykonany był z nadzwyczajną dokładnością i sprężystością. Walna bitwa polska, pod Lignicą na Śląsku stoczona była dnia 9 kwietnia 1241, a na Węgrzech na błoniach Mohi nad rzeką Sajó w trzy dni potem. Za-
ledwie trzy dni różnicy!

Zacznijmyż od strony polskiej. Nawała zaczęła się od Sandomierza. Przebywająca tam Wielka księżna wdowa, bł. Grzymisława z synem Bolesławem Wstydliwym i z synową Kingą, zdołała się na czas ocalić. Uciekano, nie widząc innego ocalenia; kto został, tracił życie, bo całą ludność pozostałą wycięto w pień; podobnież w Lublinie. Następnie ruszyli na Kraków. Wielki książę Henryk Pobożny wycofał się na Śląsk pod swój Wrocław. Rycerstwo małopolskie samo próbowało stawić czoło, ale narazili się tylko na dwie klęski: pod Chmielnikiem, niedaleko Sandomierza i pod Turskiem, gdzie rzeka Czarna wpada do Wisły z lewego brzegu. Przez Wiślicę ruszyli

Tatarzy dalej na Kraków. Całe miasto zamienili w gruzy i perzynę. Została tylko pustka na tym miejscu.

Wtedy to Norbertanki ze Zwierzyńca pod Krakowem schroniły się na skaliste wzgórze na zachód od miasta i tam w skalnych pieczarach przebyły najazd. Miejsce to zowie się od tego wydarzenia Panieńskie Skąły. Bł. Bronisława upodobała sobie ten ciężki tryb życia i zamieniła się w pustelnicę. Obrała sobie potem na pustelnię miejsce nieco bliżej miasta, na części wzgórza zwanego Sikornikiem. Tę część nazwano następnie „górami św. Bronisławy” i tam jest kapliczka jej imienia.

Tatarzy pędzili dalej nad Odrę. Pod Opolem bronili przeprawy dwaj książęta górnośląscy, Mieczysław i Władysław, potomkowie raciborskiego Mieszka Kulawego zbyt słabi, ulegli szalonej przemocy.

Ruszyli teraz Tatarzy na Wrocław, gdzie przebywał wówczas już na stałe bł. Czesław Odrowąż w swoim klasztorze dominikańskim. Wrocławianie woleli sami podpalić miasto i uciekać w lasy, niż wydać siebie i swe rodziny na pastwę rozbastwionego Tatarstwa. Ale gród postanowił się bronić do upadłego, może dlatego, żeby osłonić uchodzące mieszczaństwo, żeby choć zyskać na czasie. Stawili się więc żołnierze i ci mieszczanie, którzy obowiązani byli do służby wojennej w obronie grodu. To rzecz prosta — ale oto przybyli na gród również Dominikanie! Jest legenda, że bł. Czesław wyszedł na wały miejskie, modląc się żarliwie o ocalenie załogi. Najzupełniej trzeba temu wierzyć, uzupełniając tym, że nie sam klęczał na wałach, lecz ze wszystkimi swymi zakonnikami, a zapewne i żołnierzami; urządzono pod przewodem bł. Czesława modły i procesje błagalne. Dalej głosi legenda, jako kule ogniste zaczęły padać z nieba na obóz tatarski i że się cofnęli w zamieszaniu. Faktem jest, że

gród wrocławski nie został zdobyty, czego dowodem, że i bł. Czesław dożył jeszcze roku następnego. A jakże go wysoko stawia ta okoliczność, że nie szukał ocalenia w ucieczce wraz z ogółem mieszczaństwa — a do czego miał zupełne prawo — lecz został w warowni. Umiał przejąć obrońców grodu wiarą i otuchą. Jakżeż głęboko religijną była ta załoga, przyjmująca Dominikanów na gród. Do czegoż byli im potrzebni, jeżeli nie do odprawiania nabożeństw i spowiedzi? Załoga ta chciała walczyć z pogaństwem w imię Boże, i umierać z Bogiem w sercu. Tacy tworzyli prawdziwie zakon rycerski, a bł. Czesław był ich ojcem duchownym i wojennym kapelanem. Tatarzy zaś nigdy już potem pod Wrocław się nie zapędzili.

Wielki książę, Henryk Pobożny, zamknął się w twierdzy lignickiej. Tam zgłosiły się pod jego rozkazy resztki drużyny sandomierskiej i krakowskiej. Spodziewał się posiłków z Czech, ale się nie doczekał. Miał ten książę za żonę Annę, córkę króla czeskiego Otokara I, poślubioną w r. 1216, kiedy miała lat dwanaście. Była to pani wielce świętobliwa (ona sprowadziła do Wrocławia Franciszkanów), ale posiłków od ojca nie wyprosiła i Henryk Pobożny pomocy od teścia nie otrzymał. Głód zmusił załogę lignicką wyjść z grodu i przyjąć bitwę, której wynik był jak najgorszy. Sam Henryk walczył dzielnie; poległ, a Tatarzy odcięli mu głowę i swoim zwyczajem obnosili po obozie.

Doszła przeraźliwa wiadomość do klasztoru w Trzebnicy. Św. Jadwiga nie pozwoliła towarzyszkom swym na płacze. Rzekła: „Chwała Ci bądź, Panie, na wysokości, żeś łonu mojemu dozwolił wydać syna, który mi zawsze cześć, miłość i posłuszeństwo zachował, a teraz swoją dla Ciebie i wiary Twojej przelaną krwią sprawił największą radość, największą chwałę”.

Wdowa po poległym Wielkim księciu, Anna czeska, okazała się niewiastą tak dzielną, iż rządziła sama księstwem wrocławskim aż do r. 1244, kiedy się skończyła małoletność jej syna, Henryka III wrocławskiego.

W trzy dni po bitwie lignickiej nastąpiła walna bitwa na Węgrzech, a z wynikiem również opłakany. Król wicz Koloman spełnił swój obowiązek, stawił się do walki i podobnie jak Henryk Pobożny poległ. Została przeto wdową w dwudziestym dziewiątym roku życia bł. Salomea Leszkówna.

Ze Śląska rzucili się Tatarzy na Morawy i tam dopiero ponieśli pierwszą porażkę w stronie Ołomuńca pod wzniesieniem nieznacznym, nazywanym „świętym Kopeczkiem” — cudownym obrazem Matki Bożej (jest to miejsce wielkich odpustów). Stamtąd cofnęli się, bo nadeszła wieść o śmierci dżingishana w Azji. Batu-hanowi spieszo było z powrotem, żeby się nie spóźnić na rozprawy wojenne w Azji o następstwo na dżingishanacie i o nowy podział podległych krajów.

A gdzież byli Krzyżacy? Czyż nie było ich obowiązkiem spełnić ślub zakonu rycerskiego i bronić chrześcijan Polaków przeciwko pogańskim najeźdźcom? Im przypadałoby miejsce pierwsze, jako stałemu wojsku krzyżowemu! A wojskiem byli dobrym, gdyż rozporządzali najlepszą w całej Europie techniką wojskową. Ale napróżno wzywał ich papież Aleksander IV, żeby spieszyli na pomoc Polsce i Węgrom. Nie ruszyli się.

Polska nie tylko była zniszczona do cna; zaszło coś gorszego, była wyludniona. Spadła na nas klęska, która miała się niestety powtarzać ciągle przez całą historię Polski. Mieliśmy za mało ludności w stosunku do zajmowanego obszaru. W roku zaś 1241 nastąpiło wyludnienie tak straszne, iż cofnęliśmy się o wiek cały w rozwoju

gospodarczym; więcej niż połowa ziemi leżała nie uprawna dla braku rąk do pracy. Trzeba było sprowadzać osadnika z Niemiec. Ludzi brakowało do tego stopnia, że nawet stolicy nie dało się odbudować własną ludnością polską i dla wznowienia Krakowa trzeba było sprowadzić także Niemców. Kraków stał się na długie czasy miastem niemieckim!

Ruś cała przeszła pod zwierzchnictwo tatarskiego hana Kipczaku. Książąt ruskich hanowie nie usuwali, ale zrobili ich swymi wyręczycielami i poborcami daniny. Chcąc się utrzymać na księstwie, musiał się każdy z Rurykowiczów wysługiwać hanowi. Ubiegali się na wyścigi o jego łaskę, tatarskiego pilnując interesu, a o ludność własną nie dbając. Nawet najpotężniejszy z nich, Daniel halicki i kijowski, musiał uznać się dannikiem hańskim i haracz opłacać.

W ziemi Lachów nastąpił przewrót etnograficzny, tj. co do pochodzenia ludności, co do narodowości. Dotychczas Rusinów było niewiele; niemal tylko bezpośrednio książąt otoczenie, potomstwo dawnych drużyn waręgskich, trochę kupców z głębi Rusi i garstka popów i popowiczów (duchowieństwo prawosławne jest żonate). Ogół ludności był polski, a zwłaszcza cała ludność rolnicza polską była; chociaż prawosławną — jak wiemy — jeszcze od czasów Włodzimierzowych. Misje i wzrastająca świadomość jedności etnograficznej z Polską, robiły coraz więcej szczerb w tym prawosławiu. W czasach z przed roku 1240 tamtejsza ludność polska dzieliła się coraz wyraźniej na dwa obozy wyznaniowe: na katolicyzm i prawosławie, przy czym katolicyzm wzrastał coraz bardziej w liczbę i siłę. Założenie w samym Haliczu klasztorów dominikańskich i franciszkańskich wróżyło katolicyzmowi jak najlepszą przyszłość, a przyjazd św. Jacka wskazywał najlepiej, że zanoszą się na rozmach sprawy katolickiej.

Nagle najazd tatarski przekreślił to wszystko. Nie tylko ruina, ale zabagnienie na przyszłość! W miarę jak zagony tatarskie pokrywały Kijowszczyznę, Podole i Wołyń, ludność tamtejsza uciekała przed najazdem coraz dalej ku zachodowi, napełniając zbiegami księstwo halickie. Parli coraz dalej, przekroczyli nawet Karpaty na stronę węgierską, dając tam początek tak zwanej Rusi podkarpackiej czyli węgierskiej. Ziemia Lachów nabrała bardzo dużo ludności ruskiej rolniczej, kolonizującej pustkowiec. Kraj stał się odtąd etnograficznie mieszanym, a ponieważ cały ten napływ przybyszów był prawosławny, więc odtąd prawosławie miało wielką przewagę.

Cóż na tym tle strasznych wydarzeń i najprzykrzejszych z nich skutków robiło znane nam już grono naszych świętych? Dwoje z nich przeniosło się do wieczności. Zaraz w r. 1242 zmarł bł. Czesław, a roku następnego najstarsza z tego grona św. Jadwiga śląska, dokonała świątobliwego żywota w Trzebnicy. Pozostały w tym klasztorze jeszcze dwie księżniczki piastowskie: córka św. Jadwigi i Henryka Brodatego, Gertruda, ksieni; i następczyni jej w tej godności a jej siostrzenica, bo córka poległego pod Lignicą brata Gertrudy, Henryka Pobożnego, Agnieszka. Niestety, podniemczenie występujące już u Henryka Brodatego, przechodziło coraz wyraźniej w zupełne zniemczenie u jego potomstwa. Ksieni Agnieszka była już całkiem zniemczona i klasztor trzebnicki zamieniał się coraz bardziej w ognisko niemczyzny na polskiej ziemi. Niebawem zapanował w Trzebnicy duch wrogi wręcz polszczyźnie.

Odzyskana dla polskości była druga córka Henryka Pobożnego, Elżbieta, która również zamieszkała w Trzebnicy, lecz ślubów zakonnych nie składała. Ta wyszła za mąż w r. 1244 za księcia wielkopolskiego Przemysława I. O wielkiej nabożności tego księcia będzie mowa niżej.

Do młodszego zaliczająca się pokolenia bł. Salomea Leszkówna, wracała po śmierci męża do Polski. Była w Krakowie w r. 1243, gdy bł. Prandota, od roku biskup w Krakowie, i wiadomy nam już Klemens z Ruszczy 17 letniego Bolesława Wstydlivego osadzili na tronie małopolskim, jako pełnoletniego. Nikt odtąd nie mógł narzucać się z opieką. Prawdziwym opiekunem pozostał bł. Prandota i Wielka księżna bł. Grzymisława. Wraz z mężem Bolesławem wstępowała teraz na krakowski tron wielkoksiążęcy bł. Kinga. Małżonkowie ci wprowadzili jednak w swe pożycie całkowitą powściągliwość, w której aż do zgonu wytrwali. Tak tedy mieszkali w tych latach na zamku krakowskim trzy święte niewiasty, radując swą obecnością również świętego biskupa.

Nie pozostała jednak w Krakowie bł. Salomea. Bywszy królową polską, królewiczową węgierską, bywszy królową halicką, nie zaznała szczęścia w otoczeniu największych blasków świeckiego życia i zapragnęła ciszy klasztornej. Nie myślała jednak o Trzebnicy! Myśl jej zwróciła się ku Franciszkanom.

Ci mieli już od roku 1237 klasztory w Krakowie i we Wrocławiu, lecz napływali do nas bardziej z Niemiec, niż z Włoch. Nie chcieli nawet przyjmować polskich kleryków do nowicjatu! Na Śląsku zamienili się w przykre narzędzie germanizacji. Inaczej w Krakowie; w ciągu jednego pokolenia klasztor krakowski był zupełnie spolszczony. Niewieście klasztory franciszkańskie pozakładały dopiero księżne Piastowne, a zakładały je dla siebie, więc były polskie.

Franciszczanki nazywają się zazwyczaj Klaryskami, a to od św. Klary, naśladowniczki św. Franciszka i towarzyszyki jego wielkich spraw. Rodem była także z Assyżu, znała „Francuzika” osobiście. Ślubowała czystość doży-

wotnią; a kiedy chciano ją wydać za męż, schroniła się do „porcjunkuli“, a potem założyła zakon żeński, mający dopomagać pracom franciszkańskim. Regulę miały nader surową, ubóstwo całkowite i dużo umartwień: sama św. Klara katowała się formalnie. Zmarła w r. 1253; żyła więc jeszcze, kiedy nasza Piastówna zapragnęła iść w jej ślady.

Zajęła się bł. Salomea wyszukaniem towarzyszek życia klasztornego, przyszłych zakonnice, a mimo surowej reguły nie musiała długo szukać. Na miejsce klasztoru wybrała Zawichost „w widłach rzecznych“ Wisły i Sanu. Wracała więc do księstwa sandomierskiego, do ulubionej ojcowizny swej gałęzi piastowskiego rodu, po dziadzie Kazimierzu Sprawiedliwym i po ojcu Leszku Białym. Zakonnice wprowadziły się w r. 1245, ona zaś sama mieszkała z nimi, lecz ślubów zakonnych nie składała. Nie mogła ślubować ubóstwa, bo chciała ze swego majątku wyposażyć klasztor, a więc musiała ten majątek posiadać. Związane były z tym rozmaite sprawy i interesy, które przewlokły się jeszcze przez dziesięć lat.

Tymczasem Polska cała zajęta była pewnym planem, który wyszedł równocześnie z dwóch stron: od św. Jacka i bł. Prandoty, a który pochwycony został gorliwie przez dwór krakowski: tj. przez bł. Grzymisławę, bł. Kingę i jej męża Bolesława Wstydlivego. Jaki plan? Oto chodziło o kanonizację św. Stanisława, żeby nareszcie sprawę przeprowadzić do końca! Rozeszło się to hasło z Krakowa i stało się wnet hasłem całej Polski.

Starania o kanonizację musiały zająć lat kilka, może nawet kilkanaście. Wiedziano o tym z góry, a oczywistą jest rzeczą, że nie można było przez ten czas założyć rąk i nie troszczyć się o sprawy publiczne. Posiadała zaś Polska męża, który podobnie jak św. Wojciech, ogarniał

sprawy współczesne ze stanowiska historii powszechnej. Mężem tym był św. Jacek.

Jego wielkie dzieło polityczne powstało z rozważań, co począć na wypadek powtórnego najazdu tatarskiego? Jak zorganizować zawczasu opór, żeby nie kończyć na drugiej Lignicy? Trzeba było myśleć o tym, jak to urządzić, żeby pogańskich najeźdźców nie puścić na zachód, żeby ich wstrzymać, póki byliby jeszcze na wschodzie i tam w krajach położonych na wschód od Polski wystawić skuteczną zaporę. Chodziło zatem o Ruś. Rurykowiczów zamienił najazd z roku 1242 w podwładnych hana Kipczaku, obowiązanych dostarczać mu hufców posiłkowych. Jeżeli się nie powiedzie zmienić tego stanu rzeczy, książęta ruscy, nie wyłączając Daniela halicko-kijowskiego, będą stanowić straż przednią w armii mongolskiej! Czy nie dałoby się obrócić przeciwko Tatarom tych sił, które oni zamierzają wyprawiać przymusowo przeciwko Polsce, przeciw Węgrom i dalej przeciwko zachodniemu światu chrześcijańskiemu?

Taką była myśl św. Jacka. Nie dało się jej wykonać siłami Polski. Wtedy Polska była tak słabą, iż nawet wyobrazić sobie nie można było, żeby Piastowie pokierowali Rurykowiczami. Czasy zmieniły się bardzo na naszą niekorzyść.

Niegdyś szafowali polscy królowie, a nawet tylko książęta, koronami czeską i węgierską, a Rurykowiczów miewali sobie nieraz za podwładnych. Teraz węgierska dynastia Arpadów umacniała i rozszerzała państwo, bo szczęśliwe Węgry używały przez 90 lat spokoju wewnętrznego. Nie zrzekając się nigdy tytułu królów halicko-włodzimierskich, chcieli Arpadowie osiąść naprawdę księstwo halickie. Należałoby się temu sprzeciwić, a tymczasem obawa powtórnego najazdu mongolskiego zmusza-

ła szukać sojuszu z Węgry. Miedzy równymi sojusz zamienia się w przyjaźń, ale gdzie zachodzi nierówność sił, tam sojusz wyjdzie na to, że słabszy będzie się wysługiwać silniejszemu.

Jeszcze niekorzystniejszym stał się stosunek sił względem Czech. Niegdyś organizacja państwowa była w Polsce pewniejsza i silniejsza, ale za czasów Bolesława Wstydliwego czeska państwowość nie tylko dogoniła naszą w rozwoju, lecz znacznie ją przewyższyła. Cechy były potężniejsze od wszystkich piastowskich księstw razem. W r. 1204 Otokar I uzyskał potwierdzenie godności królewskiej od Stolicy Apostolskiej. Wnuk jego Otokar II, który panował w latach 1253 do 1278, rozszerzył niezmiernie granice królestwa czeskiego. Przyłączył szczęśliwymi kombinacjami Austrię, Styrię i Karyntię, wzywany nawet przez ludność tych krain, żeby nad nimi panował.

A cóż Niemcy na to? zapyta zapewne uważny czytelnik. Otóż Otokar II wyzyskiwał niemoc Niemiec, które naówczas pogrążyły się w najgorszy zamęt. Nie brały już udziału w dalszych krucjatach. Prowadził je król francuski Ludwik IX święty, w latach 1248—1254. Dostał się niestety z całym wojskiem do niewoli, i ledwie zdołał się okupić. Niemcy zaś zajęte były ostrą walką cesarza Fryderyka II z papieżami Grzegorzem IX i Innocentym IV. Stolica Apostolska obarczyła cesarza klątwą, ogłosiła go niegodnym piastowania godności cesarskiej i wezwała zarazem książąt niemieckich do nowego wyboru cesarza. Elekcje wypadły niezgodnie i podwójnie, przez dziesięć lat trwały wojny domowe, a w końcu nastął okres, zwany w historii niemieckiej bezkrólewiem (lata 1256—1273). Tak władza cesarska schodziła coraz niżej, aż doszła do zera.

Musiały Niemcy patrzeć bezsilne na wzrost potęgi czeskiej. Ale Polska nie wyzyskała słabości Niemiec. Ani nawet korony królewskiej nie przywrócono! Bo też państwo polskie rozdrabniało się coraz bardziej na dzielnice książęce; w r. 1248 było już takich dzielnic czternaście. Rozbita Polska nie mogła się odważyć na żadne większe przedsięwzięcia.

A nieprzyjaciele Polski stawali się coraz silniejszymi. Władający Prusami i Inflantami Zakon (krzyżacki) nie tylko umacniał coraz bardziej swoje całkowicie świeckie państwo nad Bałtykiem, ale zaczynał już zapędzać się na ziemie pomorskie i wielkopolskie. Słabi książątka musieli im ustępować! Coraz bardziej stawali się też mazowieccy książęta bezsilni wobec najazdów litewskich. Jeńców polskich było na Litwie aż nazbyt, o wiele więcej niż ich można było użyć do wprowadzania uprawy rolniczej. Handlowano nimi, sprzedając jako niewolników do Kipczaku, skąd odstępowano ich dalej w Azji aż do Chin i do Egiptu w Afryce. Agentami tego handlu byli wędrowni kupcy żydowscy. Wiadomo, gdy towar jaki zjawia się obficie na targu, cena jego spada. Czytamy przeto w kronice ruskiej owego czasu, jako „na Litwie i na Białej Rusi sprzedawany bywał jeden Lach po grzywnie, tj. po dziesięć groszy litewskich. Jakoż i na konie i na woły mieniała ich Litwa pomiędzy sobą“.

Ta barbarzyńska Litwa stawała się jednak stopniowo państwem wcale nie barbarzyńskim, a Mendog rozszerzał coraz bardziej państwo swe na ziemie ruskie. Równocześnie Daniel posuwał się coraz dalej ku północy. Obydwa państwa graniczyły już ze sobą na Czarnej Rusi. Mendog i Daniel stawali się rywalami. Umawiał się Daniel z Krzyżakami przeciw Mendogowi, gdy wtem niespodzianka! Ażeby odwrócić od siebie (jak mniemał) nieprzyjaźń Za-

konu, sam Mendog chrzci się w zimie z r. 1250 na 1251. Lecz nie było to niespodzianką dla Franciszkanów, którzy usadowieni byli już w samym Wilnie, oczywiście za zezwoleniem Mendoga; ani też dla Dominikanów, którzy według umowy pozwalali Franciszkanom wysuwać się na pierwszy plan na Litwie, sami starając się bardziej o nawrócenie schyzmatycznej Rusi. Oba zakony działały w porozumieniu. Nie był tedy zwrot na Litwie niespodzianką dla św. Jacka, ani też nie było dla niego niespodzianką, że Mendog wyprawił do Rzymu poselstwo z prośbą, by był przyjęty w poczet królów chrześcijańskich. Papież uznał go królem w lipcu 1251 roku, a w pierwszej połowie lipca 1253 roku odbyła się koronacja.

Pierwszym biskupem litewskim zostawał Wit, Polak i Dominikanin, uczeń św. Jacka. Konsekracji na biskupa dokonano w Gnieźnie, pod prezydencją arcybiskupa Pełki. Widać z tego, jak polskie ręce czynne były w tym wszystkim. Dodajmy, że ten biskup Wit zaliczony jest potem także w poczet błogosławionych.

Stanął tedy św. Jacek myślowo na czele wielkiej akcji politycznej. Obaj współzawodnicy, Mendog i Daniel, mieli być pozyskani do sojuszu przeciwko przewidywanemu najazdowi Tatarów. Dwa państwa miały się z nieprzyjaznych zamienić na przyjazne. Trzeba jednak było, żeby obydwa były katolickimi.

Dominikanie, powróciwszy do Halicza, działali oczywiście w kierunku unii kościelnej. Gdy Daniel zawierał na wszelki wypadek sojusze z Piastami i Arpadami, gdy widocznym było, że radby zrzucić z siebie jarzmo tatarskie, przedstawiono mu, że mógłby mieć pomoc od wszystkich państw katolickich, gdyby porzucił schyzmę i złożył obojętność Ojcu św. tj. akt posłuszeństwa w sprawach wiary. Dla tej nadziei pomocy z zachodniej Europy, uznał Daniel

papieża głową Kościoła i zawarł z Rzymem unię kościelną. Doradzano mu zarazem, żeby się starał u papieża o królewską koronę. Nie odmówiono mu jej i w r. 1254 koronowany był uroczyście w Drohiczynie na króla Rusi przez legata papieskiego Opiza.

Zaledwie rok czasu oddzielał koronację litewską od ruskiej. Nie byłaby Stolica Apostolska stanowiła nowych dwóch królestw, gdyby miało się zanosić na to, że one rzucą się na siebie! Sojusz ich był rzeczą umówioną, a sojusze z Polską i Węgrami rozumiały się teraz same przez się.

10. KANONIZACJA ŚW. STANISŁAWA

Tak się zbiegły okoliczności, że tego samego roku Ruś obchodziła koronację Daniela, a Polska kanonizację św. Stanisława. Św. Jacek oglądał spełnienie swych życzeń wszechstronnie.

Lata całe zajmowano się już pracami wstępnymi. Trzeba było sporządzić dokładne opisy okoliczności historycznych męczeństwa, zebrać dowody nadzwyczajnej bogobojności i świętobliwości biskupa, szczegółowe opisy tego wszystkiego, co świadczyć miało o świętości. Zważmyż, że mijало już 170 lat od mordu na Skalce w Krakowie! Ileż mozół musiano włożyć w wyszukanie świadków tradycji! Najstarszy, choćby 90-letni człowiek, mógł z wczesnego ledwie dzieciństwa przypominać sobie, co słyżał od najsędziwszych ludzi, jakich wówczas mógł poznać. Wypadki tego rodzaju są rzadkie. Cenne to świadectwa, ale trzeba ich wyszukiwać daleko i szeroko! Należało posprawdzać, co podano w spisanych dotychczas żywotach św. Stanisława (wyłącznie po łacinie), poprawić co trzeba, dodać lub ująć itd. Tego nie można było powierzać jednemu człowiekowi, tu trzeba było całego grona uczonych badaczy, bo wszystko musiało być przez kilka poważnych

osób przepatrzone i poświadczone, jako prawdziwe, iż zachowano całą ostrożność i skrupulatność dociekań. Nie brakło osób, które zajęły się tym chętnie i ofiarnie w rozmaitych stronach Polski. Główne ognisko tych spraw wstępnych, przygotowawczych, musiało oczywiście być w Krakowie. Kierownictwo spoczywało w ręku bł. Prandoty, biskupa krakowskiego, a najgorliwszymi współpracownikami byli Dominikanie krakowscy. Od biskupa wyznaczony był na sprawozdawcę (jak byśmy dziś powiedzieli: na referenta) dziekan krakowski, ksiądz magister Gebhard. Tytuł magistra (wyrażany w polszczyźnie często słowem „mistrz“) prowadzi do wniosku, że przebywał na studiach za granicą, na uniwersytecie, bo jest to tytuł uniwersytecki. Przedstawicielem zaś zakonu dominikańskiego do prac przedkanonizacyjnych był krakowski podprzeorzy Bogusław. W ciągu kilku lat poodbierali wiadomości od przyjaciół i pomocników, uporządkowano cały materiał, ułożono opisy i wnioski — i teraz należało cały ten zbiór przewieźć do Rzymu.

Skończyła się pierwsza część robót, przystępowano do drugiej. Wielki książę i biskup krakowski wystarali się o kosztą podróży dla trzech posłów, którzy by przedstawili akty i dokumenty kancelariom papieskim. Jechali więc obydwaj główni referenci, ksiądz dziekan i ksiądz podprzeorzy, ale kierownikiem poselstwa był ktoś trzeci, mianowicie mistrz Jakub ze Skarzeszewa. Zapisano o nim we współczesnych źródłach naszych wiadomości, jako był to „człeczek maluczki i niepokażny, ale mimo niskiego rodu obdarzony rzadką nauką, wielkim rozsądkiem i osobliwszą roztropnością w sprawach światowych“. Przyjęto ich na papieskim dworze życzliwie i osiągnęli w zupełności cel swych trudów i podróży, bo papież Innocenty IV wysadził papieską komisję do zbadania sprawy. To był

drugi stopień; tego trzymano się zawsze przy kanonizacjach i obowiązuje ten przepis dotychczas. Rzecz prosta, że Stolica Apostolska musi sprawdzić, co jej przedstawiają. Dowodem wielkiej życzliwości papieża i ogromnym ułatwieniem było, że wszystkich trzech członków tej komisji mianował papież spośród Polaków. Stanowili ją prymas arcybiskup gnieźnieński Pelka, biskup wrocławski Tomasz i opat Jakub (nie wiadomo z którego klasztoru). Gdy ci z dobranymi przez siebie pomocnikami ukończyli swoje sprawozdanie, pojechało z nim powtórnie do Rzymu poselstwo, z którym wyprawilo się do Rzymu kilku Dominikanów i Franciszkanów.

Zaczynał się stopień trzeci. Chodziło teraz o cudy sprawione za przyczyną biskupa Stanisława Szczepanowskiego. Te specjalnie kazano badać i dawać baczenie, żeby nie ulegać łatwowierności. Istniała już i była wielce rozpowszechniona legenda o św. Stanisławie, ale właśnie tego pilnowano, żeby nie przyjmować niczego z legendy bez dowodu. Komisja ta sama, co poprzednio, tylko rozszerzona, wszczęła szereg formalnych śledztw. Zeznawali ludzie cudowne uleczenia na grobie świętego, podawali świadków, których trzeba było przesłuchać i protokolować. Spisywano również dawniejsze cudy, o których rozbrzmiewała tradycja. Jak tu sprawdzać, jeżeli współcześnie nikt tego nie zapisał? Trafiono na starca Gedeona (Getkę), ziemianina, o którym sąsiedzi twierdzili, że ma sto lat. Pamiętał ludzi współczesnych męczeństwu św. biskupa; jego świadectwo wybijało się tedy na pierwsze miejsce. Skoro już wszystko należycie pospisywano, jechało z tym do Rzymu trzecie z rzędu poselstwo, którego uczestników nie umiemy jednak wymienić, bo imion ich zaniechano zapisać.

Zaczynał się stopień czwarty, sam proces kanoniza-

cyjny przed Stolicą Apostolską. Dosłownie i naprawdę proces. Prawo kościelne, kanoniczne ustanawia, jak w każdym zwykłym procesie, oskarżyciela i obrońcę, czyli prokuratora i adwokata; ten stara się wykazać świętość, tamten zaś podnosi ciągle wątpliwości i przeczy, gdzie tylko może. Co tylko nie jest udowodnione, jak na dłoni, temu przeczy. Nazywa go się „advocatus diaboli“ adwokatem szatana, gdyż jego obowiązkiem jest być przeciwnikiem kanonizacji. Nie może być kanonizacji, póki ten rzekomy „rzecznik szatana“ nie podda się, póki nie złoży oświadczenia, że nie ma już nic do powiedzenia. Obrońcą rzecznikiem św. Stanisława był kardynał biskup z Gaety, prokuratorem zaś Reginald, kardynał, biskup z Ostii (obydwa te miejsca niedaleko Rzymu. Ostia nad morzem tyrcheńskim). Po pewnym czasie zgodzili się obydwaj. Legenda opowiada, że św. Stanisław objawił się we śnie „advokatowi szatana“ i że zaraz potem ten przestał sprzeciwiać się. Legenda legendą, pomagał do niej ktoś, kto nie znał przepisów postępowania kanonizacyjnego. Cóż dziwnego, że przyśnił się św. Stanisław komuś, kto przez kilka miesięcy dzień w dzień zmuszony był myśleć o nim z urzędu swego; ale sen nie może stanowić dowodu ni w prawo ni w lewo i nie dlatego słu prokurator ustąpił!

Nastąpił stopień czwarty: przyjęcie przez Ojca św. do wiadomości, że biskup Stanisław Szczepanowski winien być ogłoszonym świętym. Stopień piąty i ostatni: uroczystość kanonizacyjna. Z dawien dawna i do dni naszych odbywa się to w sposób najuroczystszy.

Papież Innocenty IV bawił w podróży po północnych Włoszech, należało tedy czekać, aż powróci do Rzymu. Znowu doznało poselstwo polskie łaski papieskiej; żeby nie musieli dłużej czekać, zezwolił Ojciec św. na uroczyste ogłoszenie kanonizacji na swym podróżnym szlaku. Nie

poniejszyła się przez to cześć św. Stanisława, bo papież wyznaczył na miejsce uroczystości kościół główny franciszkański w Assyżu, kościół samego św. Franciszka. Tam tedy w dzień Narodzenia N. M. P. roku 1253 przybył sam papież, szereg kardynałów, biskupi okoliczni, cały dwór papieski, wszyscy Franciszkanie i inny kler zakonny z północnych prowincji włoskich, tudzież przedstawiciele stanu rycerskiego i mieszczańskiego, delegacje miast bliższych, kupców i rękodzielników, szkoły i ludność cała z Assyżu i okolicy. Tłumy zapełniły olbrzymi ten kościół, a na miejscu honorowym naprzeciw papieża, zasiedli polscy posłowie. Po uroczystym nabożeństwie, po kazaniach, po przemowach, Ojciec św. wręczył Polakom bullę kanonizacyjną. Pielgrzymującym do grobu nowego świętego udzielała Stolica Apostolska odpustu rok i 40 dni, a pamiątkę jego kazano obchodzić w Kościele dnia 8 maja.

Z bullą papieską wracali posłowie do Krakowa. Nie sami przybywali, lecz w towarzystwie legata papieskiego, opata Opizona z Meranu (w Tyrolu w Alpach). Oczywiście wyprzedziła ich wieść, tym razem tak radosna! Łatwo pojąć, jakie uroczystości przygotowywali w Krakowie Bolesław Wstydlivy, matka jego bł. Grzymisława, żona bł. Kinga i bł. biskup Prandota, całe duchowieństwo świeckie i zakonne, z Dominikanami na czele! Zjechało się do Krakowa pięciu książąt piastowskich, wszyscy biskupi, opaci i przeorowie z całej Polski; wielmożowie i prostackowie, wszystkie stany i zawody. Kto tylko mógł, jechał do Krakowa na dzień 8 maja 1254 roku. Przyjezdnych było tylu, iż miasto nie mogło im zapewnić noclegów i obozowali po polach za murami miejskimi. Pod okiem legata papieskiego dokonano odkrycia dotychczasowego grobowca, który był w południowej stronie katedry wawelskiej, sprawiony niegdyś przez biskupa Lamberta. Bi-

skupi sami obmyli święte szczątki winem, następnie podniesiono je i pokazano przelicznemu zgromadzeniu. Odczytano łacińską bullę Innocentego IV i przełożono ją dla świeckich na polskie. Słuchano tego na kolanach w milczeniu, w największym wzruszeniu. Rozpoczęły się modły i setki mszy św. odprawiono na całym wzgórzu wawelskim przy ołtarzach polowych, a kilkudziesięciu członków Zakonu Kaznodziejskiego (dominikańskiego) wystąpiło z kazaniami. Ludu fale zmieniały się; ci, którzy już wysłuchali nabożeństw, ustępowali miejsca nowym gromadom, oczekującym pod Wawelem swej kolei. Katedra sama ledwie mogła pomieścić książąt z orszakami i najwybitniejszych dostojników kościelnych.

Wielki to był dzień dla Piastów. Zabójcą św. Stanisława był król, głowa dynastii; shańbił dom piastowski zgładzeniem sługi Bożego. Nie bez słusności zwracano uwagę, jako od tego czasu nie mieli Piastowie między sobą króla, że korona była im od owego dnia odjęta. Prawdą to było, a któż śmiałby zaprzeczyć, czy nie było w tym palca Bożego? że to nie kara i przestroga z woli Najwyższego? Lecz Piastowie sami uznali, że Bolesław Śmiały zawinił, że dopuścił się zbrodni. A teraz oto przedstawiciele dynastii zebrali się kornie około grobu męczennika i wzywają go w modlitwie, jako patrona Polski, a więc społeczeństwa i państwa, ludu i dynastii. Modlą się, żeby przebłagać Boga za grzech swego przodka i samą obecnością swoją dają zadośćuczynienie Kościołowi.

Znakiem uległego uznania świętego patrona narodu polskiego była wielka procesja, krocząca od stóp Wawelu wzdłuż Wisły na Skalkę. Weszła potem w zwyczaj i urządzana była przez każdego króla nazajutrz po koronacji. Owego dnia 8 maja 1254 kroczyli za długimi szeregami duchowieństwa legat papieski i biskupi polscy: arcybiskup

Pełka, biskup wrocławski Tomasz, kujawski (włocławski) Wolmir, płocki Andrzej i gospodarz miejsca bł. Prandota krakowski, tudzież dwóch biskupów misyjnych: litewski bł. Wit i ruski Gerhard; drugi z kolei biskup misyjny Rusi, a który z Rzymu przywiózł sobie infułę biskupią. Obok nich poważna delegacja od króla czeskiego Otokara II, po czym szli w procesji Piastowie: Wielki książę Bolesław Wstydlivy, Przemysław I książę poznański, brat jego Bolesław kaliski, Kazimierz kujawski, Ziemowit mazowiecki i ze Śląska Władysław opolski. Towarzyszyły im księżne małżonki i dzieci, chłopcy „księżycowie” i księżniczki córki. Nie zna zaś historia drugiej takiej procesji, w której uczestniczyłoby tylu świętych Pańskich. Rozwinął się tam cały wieniec świętości ówczesnej Polski. Czyż wątpić, że zjechał na tę uroczystość ten, który sam od dawna ją przysposabiał, św. Jacek i towarzysz jego św. Sadok? Szli skromni w szeregach swej braci dominikańskiej, nie wyróżniając się od nikogo (św. Sadok pozostał już w Polsce w klasztorze w Sandomierzu). Trzecim był bł. Wit, na Litwęznaczony, a czwartym bł. Prandota. Dodajmy pięć świętych niewiast: matkę Wielkiego księcia Grzysławę; dziewiczą jego małżonkę Kingę i siostrę rodzoną Salomeę. Nadto dwie święte zakonnice Norbertanki z klasztoru na Zwierzyńcu: wiadoma nam bł. Bronisława Odrowążówna i towarzysza jej, bł. Judyta Krakowianka, która również słyęła ze świątobliwości. Dziewięciu świętych brało tedy udział w tej procesji, prawdziwie procesji świętych.

Istniał zawsze i dotychczas istnieje zwyczaj, że relikwie nowo kanonizowanych bywają dzielone, że się obdarza nimi kościoły, którym chce się wyświadczyć dobrodziejstwo. Dzieli się kości świętych na części, cząstki i cząsteczki. Wszakże na każdym ołtarzu znajduje się

jakaś relikwia: po większej części są to bardzo drobne kawałeczki kości jakiegoś świętego, często zgoła nawet nieznanego w tym kraju, gdzie się na jego szczątki szczątków odprawia nabożeństwo. Obiegały one w ciągu wieków świat katolicki skutkiem podróży, zwłaszcza zakonników; gdy z klasztoru macierzystego szli w świat daleki zakładać filie, musieli brać z sobą relikwie, bo inaczej nie mogliby nigdzie ustawić ołtarza.

Obdzielono też częściami i cząstkami kości św. Stanisława najważniejsze kościoły w Polsce, katedralne, kolegialne, zakonne, wymierzając dary tak obficie, iż w katedrze krakowskiej pozostała tylko głowa i ramiona. Znaczny dar otrzymał także król czeski Otokar II, któremu posłano do Pragi część ręki. Było to dowodem stosunków w tym czasie bliższych i serdecznych z dworem krakowskim.

Otokar uważał zapewne dar tak bezcenny za najlepszą wróżbę dla przedsięwzięć, jakie właśnie zaprzętały jego głowę. Potężny, władający od gór Sudeckich po Alpy styryjskie, niebawem miał przyłączyć nadto Karyntię; monarcha, któremu spełniały się wszelkie życzenia, a nawet los szczęśliwy wsuwał mu korzyści, jakichby się nigdy nie spodziewał, chciał okazać wdzięczność Opatrzności. Zamyślał dokonać jakiego dzieła zbożnego a wielkiego — postanowił urządzić wielką wyprawę krzyżową na pogańskich Prusaków, żeby dopomóc „Zakonowi”. Tego samego jeszcze roku 1254 zebrał znaczne wojsko. Szczęście towarzyszyło mu i na tej wyprawie, bo dotarł zwycięsko aż do wschodnich granic pruskiego kraju, blisko Litwy i tam założył Krzyżakom swoim kosztem warowny gród, który oni nazwali na jego cześć „królewską górą” (po niemiecku Koenigsberg, po polsku Królewiec). Około warowni powstało wkrótce znaczne miasto,

które stało się w przyszłości stolicą państwa niemiecko-pruskiego. Jeszcze raz potem wyprawiał się Otokar w tamte strony i znowu z wielką korzyścią dla Zakonu, a zatem... z wielką szkodą dla Polski.

Tak to często skutki naszych czynów bywają nieprzewidziane, nawet przeciwne naszej pierwotnej intencji. Tego nie mógł przewidywać ów król czeski, że pomaga kuć młot na Polskę, a który w dalszych pokoleniach uderzy także w Czechy. Dumni był i szczęśliwy, że przysługuje się chrześcijaństwu, że część swojej potęgi oddaje na usługi wiary św. i Kościoła. Jakżeż się mylił! A co ciekawsze, że monarchę tego po długich latach nadzwyczajnego powodzenia czekała w końcu nagła klęska, również nadzwyczajna...

Od Zakonu nie przysłano nikogo na uroczystości kanonizacyjne, ani jednego nawet delegata. Jak zaś pojmowali stosunek swój do spraw religijnych, a zwłaszcza do misyj wśród pogan, niechaj zaświadczy przykład wzięty z historii tych właśnie lat 1254—1255. Biskupi polscy wystarali się niedawno o ufundowanie osobnego biskupstwa misyjnego w Łukowie, jako podstawy dla misyj litewskich i ruskich. Książęta przygotowywali zaś równocześnie wyprawę na pogan wschodnich, graniczących z Polską, na dzikich prawdziwie Jadźwingów, koczujących pomiędzy Polską a Litwą. Kierować miał sprawą Bolesław Wstydlivy przy pomocy swego synowca Kazimierza łączyckiego. Przewidywali, że gdyby zajęli na poganach jaką krainę, zaraz Krzyżacy zgłoszą do niej swe roszczenia. Z góry wystarali się tedy u papieża Innocentego IV, żeby spodziewane zdobycze nadał im i przyznał jako lenno Stolicy Apostolskiej. Otóż Zakon zaraz przeciwko temu apelował! Pomimo to otrzymał książę łączycki w Rzymie nadanie Polesia, nie nawróco-

nego jeszcze i pustego, tudzież krainy zwanej Gołędzią. Były to ziemie bardzo odległe od Krzyżaków, wchodzące raczej w zakres polityki Daniela halickiego. A skoro Daniel przyjął unię i otrzymał od papieża koronę, książęta piastowscy nie zamierzali wchodzić mu w drogę i od wojennych swoich zamiarów całkiem odstępili. Pomimo to Krzyżacy nie spoczęli, aż Kazimierz łączycycki zrzekł się w r. 1255 na ich rzecz praw nadanych sobie przez Stolicę Apostolską. Do tego stopnia baczyli oni, żeby do pogan nikt nie miał nawet pozornych praw. Kto tylko myślał o misjach wśród pogaństwa północno-wschodniej Europy, stawał się wrogiem Zakonu, bo im... psuł interes! Intrygowali też przeciwko założeniu biskupstwa łukowskiego i kopali dołki dopóty, aż postawili na swoim, i biskupstwo to pozostało (jak się mówi) na papierze.

Nie koniec na tym! Intrygowali przeciw pierwszemu biskupowi Litwy, bł. Witowi. Zasypywali Stolicę Apostolską i dwory monarsze zachodniej Europy pismami z zażaleniami, jako oni pogan nawracają, oni bronią chrześcijan przed poganami, a zatem należy się im zwierzchność nad nawróconymi i tym samym hierarchię kościelną oni tylko winni tam zaprowadzać; że tedy biskup litewski powinien być mianowany od nich, spośród nielicznych kapłanów ich Zakonu. I znów nie spoczęli, aż postawili na swoim! Bł. Wit zrezygnował ze swego biskupstwa w r. 1255, a biskupem litewskim został następnie mianowany kapłan krzyżacki, imieniem Krystyn — który na Litwę nawet nie wyjechał!

Widząc jasno, jak krzyżacki Zakon nie pomocą jest w stosunkach z ościennymi poganami, lecz przeszkodą i że chce pogaństwo utrzymać, bo ciągnie z tego zyski, proponował natenczas bł. biskup Prandota, żeby sprowa-

dzieć francuskich Templariuszów i osadzić ich od strony Jadźwingów. Ale było już za późno.

Posiadali Krzyżacy wpływy wielkie w całej ówczesnej Europie i w samym Rzymie, bo pomagano im, sądząc, że popiera się wielkie dzieło misyjne. Im zaś chodziło tylko o cele świeckie, o bogactwa i o zaopatrzenie młodszych synów niemieckich wielmożów. Sami przyznali niebawem, że Zakon jest od tego.

Tymczasem rozwijał się nasz polski wieniec świętości. Od r. 1255 uporządkowane były sprawy majątkowe klasztoru Klarysek w Zawichoście; wyposażony już był zdaniem bł. Salomei należycie. Żadna ze zakonnice nie mogła wprawdzie posiadać majątku osobistego, a wszystkie żyły ubożuchno, ale nawet ubogie utrzymanie kosztuje a przy tym trzeba mieć na zachowanie całości i porządku budynku klasztornego, kościoła, a choćby tylko kaplicy; i kościół zaopatrzyć w sprzęt kościelny i mieć na utrzymanie kapłana, który by był zarazem spowiednikiem zakonnice. Tak więc minęło lat dziesięć, nim bł. Salomea osądziła, że może się już wyrzec majątku, że jej już nie potrzebny i w r. 1255 stała się zakonnica. Stanowiska ksieni nigdy nie przyjmowała. Przebyła w klasztorze lat 26.

Tegoż roku klasztor zwierzyniecki poniósł wielką stratę, gdyż zmarła tam owa towarzyska bł. Bronisławy, bł. Judyta, o której niestety nic więcej nie wiemy, jak to, że była rodowitą Krakowianką i że ją czczono jako świętą. Mamy też wiadomość, że była „wslawiona cudami”. Cześć jej trwała jeszcze w połowie wieku XVII, lecz potem przerwała się tradycja.

W roku następnym przybywał natomiast do wieńca świętości nowy liść. Jeden z najdzielniejszych Piastów, rodzony brat Przemysława poznańskiego, książe kaliski Bolesław Pobożny, poślubił siostrę przyrodnią Wielkiej

księżny Kingi, Jolantę (Helenę), córkę Beli IV, króla węgierskiego. Jak zwykle wtenczas, panna młoda była jeszcze bardzo młoda, licząc zaledwie 12 lat. Ślub odbył się w Krakowie w r. 1256. Św. Kinga zatrzymała zbyt młodą pannę młodą po ślubie przy sobie, na swym dworze, jeszcze przez dwa lata i dopiero potem odesłała ją mężowi do Kalisza. Jolanta miała potem powiększyć grono polskich świętych patronek.

W tym samym czasie przybywał drugi z kolejności klasztor Klarysek w Polsce, mianowicie wrocławski, fundowany w r. 1257 przez wdowę po Henryku Pobożnym, Annę. Jak wiemy, była to królowna czeska; z Pragi też Klaryski sprowadziła. Znamiennym jest, że stroniła od Trzebnicy, choć miała tam swiękrę i szwagierkę. Zamieszkawszy u swoich Klarysek, żyła tam do r. 1265, a zmarła w opinii świętości.

Niestety, również w r. 1257 miał ubyc główny działacz tego pokolenia. Św. Jacek dokończył żywota, tak zbożnego i tak pożytecznego. Umarł w opinii świętości, modlono się do niego i wypraszano nawet cudy, a jednak minęło lat 346, nim został ogłoszony świętym.

A w następnym roku 1258 skończyły się świątobliwe dni bł. Grzymisławy. Pochowano ją we franciszkańskim kościele w Krakowie.

Na wawelskim zamku pozostawała sama już bł. Kinga, dziewicza małżonka dziewiczego męża, oboje oddani duchownemu kierownictwu bł. biskupa Prandoty. A w najbliższym Wawelu sąsiedztwie, na Zwierzyńcu, odeszła z tego świata w dwa lata po swym stryjecznym bracie św. Jacku, bł. Bronisława, ta która przed Tatarami schroniła się na „Panieńskie Skały” pod Krakowem. Pochowana jest w kościele swego klasztoru, beatyfikowana dopiero w roku 1839 przez papieża Grzegorza VI.

Przeniosła się do lepszego świata, jakby unikając powtórnej ucieczki przed tatarskimi zagonami, tuż przed drugim ich najazdem. Miał nastąpić w roku jej zgonu, 1259.

Zwolnił Pan Bóg bł. Bronisławę od udręczeń powtórnego najazdu mongolskiego, a św. Jacka od katuszy najcięższej, żeby nie musiał patrzeć na rozbicie własnego dzieła. Najazd bowiem straszliwy, jeszcze gorszy niż w r. 1241, wywracał znowu wszystkie stosunki.

11. POCZĄTKI ODRODZENIA

Radosny tytuł rozdziału, chociaż wypadnie opowiadać w nim o nieszczęściach ciężkich. Klęski były straszne, bo nastąpił drugi i trzeci najazd mongolski, ale były to klęski z zewnątrz, nie z naszej winy; odrodzenie zaś zaczęło się z wewnątrz, wyniknęło z nas samych. Wszelka poprawa natenczas tylko bywa stałą i obfituje w pomyślne następstwa, jeżeli korzenie jej tkwią w duszy. Charaktery muszą się poprawić, jeżeli życie publiczne ma wejść na lepsze tory. Jeżeli w społeczeństwie jakim nie brak charakterów tęgich, obstających przy moralności, a brzydzących się niemoralnością, jeżeli naród posiada dostateczną ilość obywateli zacnych, obowiązkowych, ofiarnych, przenoszących dobro publiczne nad prywatne, natenczas przetrzymuje się nawet najcięższe klęski zwycięsko i nie przestaje się dążyć do wzniosłych celów, choć nie można kroczyć szybko wśród nieszczęść. Stapa się, jak po grudzie, ale się idzie i nie ustaje się w drodze! Oto prawdziwe odrodzenie i takie odrodzenie spłynęło na przodków naszych drugiej połowy XIII w., jakby wymodlone za przyczyną tych świętych patronów, jakich wydawały z siebie owe pokolenia.

Zawiązki odrodzenia znać zaraz po kanonizacji św. Stanisława. Pierwszy brzask zaświtał pomiędzy Poznaniem a Kaliszem. Łączyła ścisła przyjaźń te dwa księstwa, bo władali tam dwaj rodzeni bracia, obaj uczciwi: w Kaliszu Bolesław Pobożny, a w Poznaniu Przemysław I, ten sam, o którego nadzwyczajnej nabożności już wiemy. Ten miał trzy córki, które wszystkie zostały zakonnicami w późniejszych latach. Dziećmi jeszcze były, kiedy umarł im ojciec w r. 1257 r. Za życia ojca brata nie miały. Długo oczekiwany potomek męski miał przyjść na świat dopiero po śmierci ojcowskiej, jako pogrobowiec. Przemysław I poznański zmarł dnia 4 czerwca 1257 r., a dnia 14 października urodził się syn, którego nazwano także Przemysławem. Opieka przypadła stryjowi Bolesławowi kaliskiemu. Niejeden książę byłby skorzystał z praw opiekuna, żeby nie tylko sprawować zastępczo rządu Wielkopolski, ale żeby ją zagarnąć dla siebie! Ale ten Bolesław był naprawdę mężem pobożnym, bogobojnym, i sprawował opiekę w sposób prawdziwie wzorowy.

Wychowywały pogrobowca dwie świątobliwe niewiasty, matka i stryjna. Matka, wdowa po Przemysławie I, to Elżbieta, córka poległego pod Lignicą Henryka Pobożnego, a wnuczka św. Jadwigi z Trzebnicy. Od lat już trzynastu strzegła bogobojności na poznańskim dworze. Stryjna po roku dopiero przybyła do Kalisza (zatrzymana po ślubie przez bł. Kingę całe dwa lata w Krakowie), ale zaraz zajęła się gorliwie małym książątkiem; wszakżeż była to bł. Jolanta I stryj poświęcał też coraz więcej czasu synowcowi, w miarę jak podrastał. Słowem: trudno sobie wyobrazić szlachetniejsze otoczenie i lepsze wychowanie od tego, jakie dostawało się w udziale młodemu Przemysławowi. A książątko to miało stać się gwiazdą wschodzącego odrodzenia Polski.

Lecz przedtem trzeba było dużo przecierpieć i przetrzymać. Tyczyło się to tylko starszych. Przemysław liczył zaledwie dwa lata, kiedy spadł na Polskę drugi najazd mongolski. Nie dotarli wprawdzie najeźdźcy do Kujaw; najazd ograniczył się do Małopolski, ale zniszczenie jednej połowy kraju osłabiło cały kraj.

Każdy najazd mongolski, czy tatarski z Kipczaku, musiał się zacząć od Rusi, jako położonej bardziej na wschód.

Nowy król halicki Daniel nie był nawrócony szczerze ze schizmy, lecz przyjmował unię kościelną tylko ze względów politycznych, spodziewając się za to pomocy przeciw hanowi Kipczaku. Sam rozpoczął walkę z Tatarami, zmówiwszy się z Mendogiem, ale przeliczył się. Mongołowie urządzali właśnie drugą wyprawę celem zdobycia Węgier. Część armii wkroczyła od razu aż na Litwę, ażeby Mendog nie mógł połączyć się z Danielem; druga część znaczniejsza zalała Małopolskę. Król ruski nie mogąc znikąd otrzymać pomocy, musiał posłusznie oddać swe hufce pod rozkazy hana. Użyto ich na straże przednie i dlatego zarzucano potem Danielowi, że był „przewodnikiem” najazdu na Polskę. Unię kościelną porzucił.

Zbliżali się pohańcy do Sandomierza. Bł. Salomeę z zakonnkami wyprawiono z Zawichosta w Pieniny, skaliste góry na granicy polsko-węgierskiej. Ale Dominikanie sandomierscy pod swym przeorem, św. Sadokiem, zostali. Postąpili podobnie jak ich wrocławscy współbracia w r. 1242 pod bł. Czesławem; zostali, żeby dzielić dolę z załogą broniącą grodu i na gród się przenieśli.

Co dalej się stało, wiąże się w jedną z najpiękniejszych legend. Jest zwyczaj po klasztorach, że podczas posiłku codziennie jeden z braci czyta ustęp z dziejów

męczenników świętych. Dnia 2 czerwca 1259 roku zakonnik czytający wyczytuje w głos te słowa: „W Sandomierzu męczeństwo 49 zakonników“. A w sam raz było ich w klasztorze 49, kapłanów i braci. Wszyscy zdziwieni, a lektor (czytający) zaręcza, że tak wypisane ma w księdze, z której czyta, a wypisane jaśniejącymi literami. Przeor każe sobie podać księgę i sam widzi, że to prawda. Księga idzie z rąk do rąk, a wszyscy stwierdzają to samo. Natenczas św. Sadok kazał wszystkim gotować się na śmierć. Przystąpiwszy do Sakramentów świętych, spędzili noc na modłach i nabożnych pieniach, nie ruszając się z kościoła. Doczekali się nazajutrz rzeczywiście śmierci.

Wszystkie domy, kościoły, „a były wielkie i cudne, połyskujące krasotą, z białego ciosu stawiane“, mówi według podania naocznych świadków kronika ruska — spłonęły. Z ludności, co nie zginęło przy wzięciu miasta, padło potem ryczałtem pod ciosami Mongołów. Przed wymordowaniem (opowiada także kronika) — „mnisi z księżmi i diakonami odprawiali nabożeństwo, odśpiewali mszę świętą i jęli brać komunię, naprzód sami, potem szlachta z żonami i dziećmi, i wszyscy od małego do największego wyspowiadali się, ci przed mnichami, inni przed księżmi i diakonami, gdyż było mnogo narodu w grodzie. Potem zaś wyszli z krzyżami z grodu, ze świecami i kadzidłami, szlachta i szlachcianki, ubrawszy się w szaty weselne, a sługi szlacheckie niosły dziatki przed nimi, a był płacz wielki i szlochanie; mężowie płakali żon swoich, matki dzieci, brat brata, a nie było nikogo, kto by się zmiłował. A ustępujących tak z miasta zagnali Tatarzy na błonie wzdłuż brzegów Wisły. I siedzieli tam dwa dni na błoniu. Potem jęli Tatarowie wszystkich mordować, mężów wespół z niewiasty, i nie pozostała z nich żywa dusza“.

Ruszyli Tatarzy dalej i zniszczyli na nowo Kraków, ledwie odbudowany po pierwszym najeździe. Padli tym razem ofiarą nowi zakonnicy, Bracia Pokutni, sprowadzeni przez Bolesława Wstydliwego zaledwie przed dwoma laty do Krakowa. Należał do nich kościół św. Marka (przy ul. Sławkowskiej) i tam w kaplicy św. Zofii leżą ciała trzech pomordowanych zakonników. Czczono ich jako błogosławionych męczenników przez niemal 500 lat; mamy na to świadectwo jeszcze z roku 1737. Potem jednak zatarła się tradycja.

Tatarzy uprowadzali wszędzie ludność do niewoli w „jassy”. Małopolska zaledwie po 17 latach ponownie wyludniona, stawała się naprawdę pustką. Na zgłiszczach wszędzie trupy ludzkie, całe osady spalone i zrównane z ziemią.

Gdy o tym wszystkim wieść doszła do Rzymu, powiedział Ojciec św., że Polacy posiadają święte miejsca męczeństw, do których należy pielgrzymować, jakoby „na góry kalwaryjskie”. Jest też podanie, że przywieziono do Rzymu trochę ziemi spod Sandomierza, a gdy papież ścisnął w rękę garść tej ziemi, pociekła krwią męczeńską.

Takie wielkie znaczenie moralne ma męczeństwo św. Sadoka, męża wielkiego doświadczenia i jeszcze większej wiary. Ze stron rodzinnych z nad Wisły przeniesiony do Bolonii i do Rzymu, misjonarz Kumanów, pierwszy świadek przewrotności Krzyżaków, powrócił do swojej Małopolski, żeby powiększyć liczbę naszych świętych patronów nie tylko własną osobą; słusznie mówi się: św. Sadok i 49 towarzyszy.

Podobnie, jak w r. 1242, okrążali Mongołowie także w roku 1259 Węgry od północy, przez Małopolskę, i szczególnym zbiegiem okoliczności znowu tak samo olbrzymia ich armia miała być nagle odwołana do Azji,

potrzebna tam na wojnę domową o następstwo na dzin-gishanat.

Gdy minęła mongolska nawała, pokazało się, że bł. Salomea i jej towarzyszki nie mają co porabiać w Zawichoście, bo tam nie został kamień na kamieniu. Pragnąc okolicy bezpieczniejszej i żeby być bliżej Krakowa, przeniosła swój klasztor do Skały, nieco na północ od stołecznego miasta.

Brat jej, Wielki książę Bolesław Wstydlivy, schronił się wraz ze swą małżonką bł. Kingą także w góry karpackie, lecz dalej na wschód, tam, gdzie w Karpatach księstwo halickie przytyka do Węgier. Z dawien dawna słynęły obydwie stoki tamtej części Karpat ze źródeł solnych. Stanowiły one największe bogactwo podgórze halickiego, a nie brakło ich również po stronie węgierskiej. I tu i tam stanowiły własność panującego, bo już w owych odległych czasach sól stanowiła monopol państwowy. Stamtąd przywiozła bł. Kinga, wracając potem do Polski, biegłych warzowników, tj. umiejących źródła solne wynaleźć i sól z nich wytworzyć czystą, tak zwaną warzonkę. Ci wykryli istotnie źródła takie w dwóch miejscach, w Wieliczce i w Bochni. Szukając coraz nowych źródeł solnych, ukrytych pod ziemią, kopiąc, natrafili na sól kamienną. Taki jest początek wielkich salin polskich, największych na całym świecie. Był to prawdziwie dar bł. Kingi dla Polski i słusznie czczona jest przez naszych górników salinarnych, jako ich patronka. W głębokich podziemiach Wieliczki znajduje się kaplica bł. Kingi, wyrąbana przez górników w zwałach soli.

Nie wiemy, gdzie przebył najazd tatarski bł. Prandota. Może w Jędrzejowie, przy grobie bł. Kadłubka? Wracając do Krakowa schorzały i w r. 1262 dokończył świętobliwego żywota. Pochowany jest w katedrze na Wawelu.



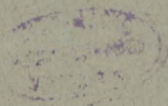


Szczałki jego dwukrotnie podnoszono ze czcią największą, w r 1444 i 1639.

Tegoż roku 1262 był Kraków świadkiem dziwnego wydarzenia u Dominikanów: Było tam trzech braci rodzonych; najstarszy Waclaw otrzymał już święcenia kapłańskie, średni Władysław był po wyższym święceniu diakonem, najmłodszy Wisław dopiero subdiakonem po święceniach niższych. Wszystkich trzech przyjęto jednego dnia do zakonu i wszyscy trzej zmarli po komunii św. równocześnie, podczas zwykłej medytacji. Starszych zdjęła obawa, czy to nie kara Boża, za niegodne przyjęcie Sakramentu; kazali więc te trzy ciała pogrzebać w sadzie, na uboczu. Lecz bracia owi zjawiali się przeorowi kilka razy we śnie, upominając, żeby ich ciała kazal przenieść na miejsce poświęcone, pomiędzy grobowce dominikańskie w podziemiach kościoła. I dodawali zmarli przeorowi taką uwagę. „Nas Pan Bóg wtenczas do siebie wziąć raczył i niebem obdarował, gdy nas sposobnych widział“. Przeor uznał te sny za wskazówkę dla siebie, kazal ciała trzech braci wykopać i pogrzebać na nowo, z całym ceremoniałem dominikańskim, w miejscu, gdzie potem stała i stoi dotychczas kaplica Trzech Królów.

Straszliwa tatarska nawała wstrząsnęła do głębi całym społeczeństwem. Ludzie złamani nieszczęściem, pozbawieni rodzin i dorobku pracy wielu lat, niepewni, czy najazd się nie powtórzy, w trwodze o ziemskie powodzenie poczuli — jak zwykle bywa — równocześnie trwogę sumienia. Najazd przedstawiał im się, jako ciężka kara za grzechy. Po najeździe pod wpływem strasznego ciosu, tysiące zwróciły się do Boga, bo — trwoga! A każdy z nich chciał dać swej pobożności jakiś znak widomy; ubogi wrzucał do skarboxy grosz, bogacz fundował klasztor. Pod wpływem trwogi spełniali uczynki prawdziwie bogobojnie lu-





377533

Biblioteka Główna UMK



300051897034